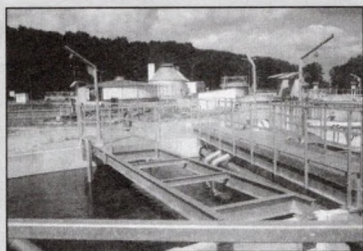






W numerze wrześnieowym:



**W 2000 rok z ekologiczną
oczyszczalnią 4**



ORLA PERĆ 24



Sławny i nieznany 12



**Śremscy żeglarze
na Adriatyku 28**



**W KRĘGU KSIĘDZA
PIOTRA WAWRZYNIAKA 8**



GALERIA '99 38

JAKI BĘDZIE NOWY ROK SZKOLNY...?

Rozpoczął się nowy – obfitujący w nowości – rok szkolny 1999/2000. Jak co roku zadajemy sobie pytanie: co on przyniesie? Jakie zmiany organizacyjne? Czy podołamy, szczególnie zmianom reformatorskim. To przecież 1 września br. rozpoczynają swoją działalność szkoły gimnazjalne oraz zreformowane szkoły podstawowe. W gminie Śrem szkoły gimnazjalne pieczętowanie przygotowały się do rozpoczęcia roku szkolnego.

Lp.	Nazwa szkoły	Ilość uczniów	Ilość uczniów w Śremie	Ilość uczniów w oddziałach wiejskich
1	Gimnazjum Nr 1	458	79	379
2	Gimnazjum Nr 2	259	48	213
	Razem	717	125	592

Uczniowie będą zorganizowani w 17 oddziałach w Gimnazjum Nr 1 (w tym 3 oddziały w budynku Szkoły Podstawowej w Nochowie) oraz w 10 oddziałach w Gimnazjum Nr 2 (w tym 2 oddziały w budynku Szkoły Podstawowej w Zbrudzewie). W planach nauczania przewidziano naukę języków obcych, które są kontynuacją nauczania ze szkoły podstawowej. Jednocześnie uczeń szkoły gimnazjalnej – wspólnie z rodzicami – oceniając swoje możliwości, decydował się na naukę drugiego języka, którego realizacja nastąpi poza systemem klasowo-lekcyjnym (zdecydowało się 80% uczniów). W tym miejscu należy podkreślić, że w szkołach gimnazjalnych zatrudniono nauczycieli języków obcych, a jest to wynikiem między innymi systemu stypendium, który z powodzeniem jest stosowany w naszej gminie.

W obydwóch szkołach uczniowie otrzymają wsparcie pedagogiczne i psychologiczne, a systemy wychowawcze zostaną oparte na wynikach raportu, który w tym celu został wykonany na zlecenie gminy Śrem (na temat raportu w następnym numerze „Gazety”). Klasy gimnazjalne zostały tak dobrane, aby w każdym oddziale byli uczniowie z różnych szkół podstawowych. Zaletą takiego rozwiązania jest daleko idąca i szybsza integracja uczniów, jak również uniknięcie konfliktów wynikających z powstawania nieformalnych grup rówieśniczych.

W budynkach szkół gimnazjalnych wykonano niezbędne – w miarę posiadanych środków finansowych – remonty i modernizacje.

W Gimnazjum Nr 1 w Śremie, ul. Chłapowskiego 12a, zmodernizowano część socjalną obiektu sportowego: systemy prysznicowe, wc, modernizacja podłóg; wymalowano korytarze, część biblioteki, zorganizowano pomieszczenia administracyjne. W budynku Szkoły Podstawowej w Nochowie wyremontowano korytarze starej części szkoły, sale lekcyjne, zorganizowano czytelnię, salę komputerową z niezbędnym wyposażeniem.

W Gimnazjum Nr 2 w Śremie, ul. Szkolna, zmodernizowano i wyremontowano całkowicie wszystkie węzły sanitarne, wymieniono kompleksowo w tej części budynku okna, a wyposażenie sanitariatów zaskoczy niejednego ucznia. Zmodernizowano pomieszczenia administracyjno-biurowe oraz gabinety pedagoga szkolnego i logopedy. W budynku Szkoły Podstawowej w Zbrudzewie zmodernizowano dwie izby lekcyjne oraz zorganizowano pracownię komputerową. Jednocześnie trwa realizacja inwestycji budowy obiektu sportowego oraz rozbudowy szkoły.

Czy zostały zaspokojone wszystkie potrzeby? Absolutnie nie! Proces reorganizacji trwa i wymagać będzie wielu nakładów finansowych i organizacyjnych.

System dowozów szkolnych musiał zostać dostosowany do nowej sieci szkolnej, a szczególnie organizacja wspólnych dowozów uczniów szkół podstawowych i gimnazjalnych. W wyniku negocjacji z firmą przewozową STRZELEC podpisany został aneks do umowy – dodatkowo 155 km dziennych dowozów. Wprowadzono w życie – na koszt gminy – wahadłowe kursy pomiędzy Szkołą Podstawową Nr 1, a Gimnazjum Nr 2. Ułatwi to dostęp do szkół, a jednocześnie będzie on bezpieczniejszy.

Do szkół podstawowych naszej gminy od 1 września br. uczęszczać będzie 4556 uczniów, z tego 1030 uczniów do szkół podstawowych wiejskich. Oto pełne zestawienie:

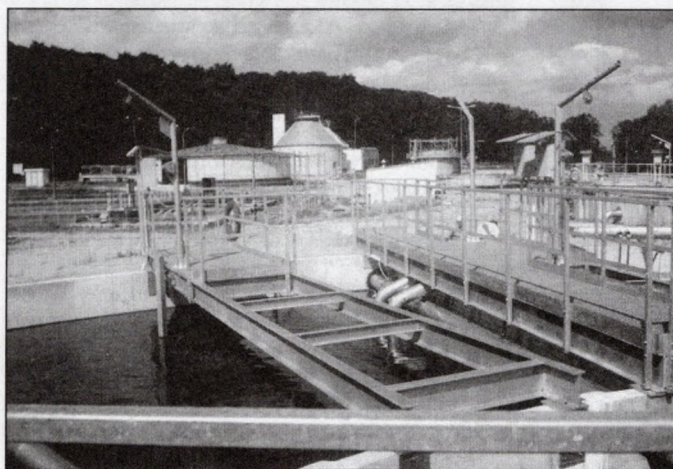
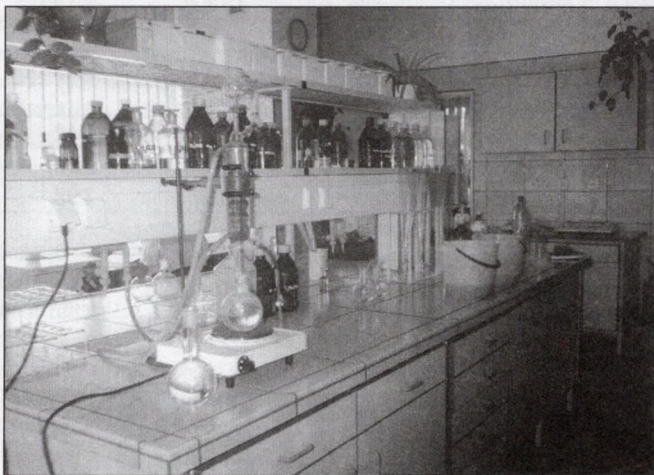
W 2000 rok z ekologiczną oczyszczalnią

Od 2000 roku obowiązywać będą nowe przepisy wydane w 1991 r. znacznie zaostrzające jakość odprowadzanych ścieków (do Warty), a tym samym wymuszające konieczność podwyższenia wyników oczyszczania ścieków.

Oprócz konieczności zredukowania podstawowych zanieczyszczeń jak: zawiesina i ładunki, obowiązywać będzie redukcja biogenów czyli azotu i fosforu obficie występujących w większości proszków do prania.

O konieczności przystąpienia do rozbudowy oczyszczalni ścieków w Śremie sygnalizowało Przedsiębiorstwo Wodociągów i Kanalizacji już w 1993 r. Jednakże dopiero w roku 1996 miasto ogłosiło przetarg na wykonanie oczyszczalni ścieków spełniającej obowiązujące warunki. Do przetargu stanęło 12 przedsiębiorstw, spośród których wybrano 6 najlepszych. 3 lipca 1996 r. podpisana została umowa pomiędzy gminą Śrem a Przedsiębiorstwem Budownictwa Ekologicznego BUD-EKO w Wolsztynie na rozbudowę w Śremie. Termin zakończenia rozbudo-

wy upływa 30.09.1999 roku, a wartość zadania wynosi 83 mld starych złotych. Prace budowlano-montażowe rozpoczęły się 1997 roku. Obecnie prace są na etapie końcowym, przygotowującym obiekt do rozruchu. Ge-



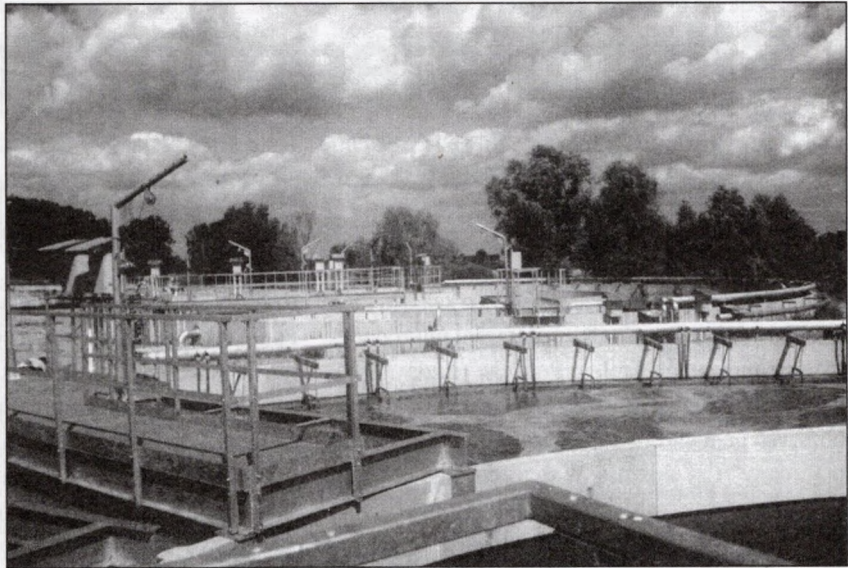
neralnie wszystkie obiekty zostały zmodernizowane, z nowych obiektów powstały: budynek energetyczny oraz adaptowano skorupę złoza biologicznego na budynek, rotundę do składania osadu przefermentowanego.

Natomiast, aby uzyskać efekt ekologiczny trzeba było zmienić biologię tzn. sposób oczyszczania ścieku. Musiano zrezygnować ze złoza biologicznego, a w to miejsce powstały reaktory biologiczne – serce oczyszczalni ścieków. Zostały wyposażone w "płyty Messnera" służące do drobnopęcherzykowego napowietrzania ścieków oraz pompy, mieszadło i dziesiątki, a nawet setki metrów rurociągów technologicznych wraz z armaturą, wykonanych z tworzyw sztucznych i stali

kwasoodpornej, rozprzeczających ścieki i powietrze.

Zakończono prace przy zagęszczaniu osadu, który pozwoli na oddzielenie wody nadosadowej z osadów przeznaczonych do fermentacji metabolicznej.

Wykonano oświetlenie terenu oraz rozprzeczano setki metrów kabli energetycznych dla zasilania urządzeń w energię elektryczną. Budynek socjalno-warsztatowo-laboratoryjny jest już w całości eksploatowany, a w jego piwnicach zainstalowana pompa ciepła pobierając ciepło z dopływających do oczyszczalni ścieków ogrzewa cały budynek oraz przyległy budynek kratowni i dostarcza ciepłą wodę. Kompleks obiektów do przeróbki i higienizacji osadu jest w trakcie przygotowań do rozruchu. Zainstalowana linia umożliwi wykorzystanie przyrodnicze osadów ściekowych. Osady po wymieszaniu z wapnem palonym i 24-godzinny leżakowaniu w pojemnikach składowane będą na zbędnych już poletkach osadowych i w okresie jesiennym wykorzystywane do nawo-



żenia terenów zielonych, rekultywacji wysypisk śmieci i składowisk nieczystości i nieużytków.

Spore wrażenie wywołuje pomieszczenie łącznika komór fermentacyjnych. Nowoczesne agregaty przetwarzające produkowany w oczyszczalni biogaz na prąd elektryczny usytuowane są w estetycznym odnowionym pomieszczeniu. Nowoczesna kotłownia i wymienikownia gwarantuje wysoką sprawność układów ciepłych. Przy obiektach przeróbki osadu zlokalizowana jest odsiarczalnica oczyszczająca produkowany biogaz z zanieczyszczeń, a dalej pochodnia, która będzie się au-

tomatycznie zapalała przy nadwyżce gazu w zbiorniku.

Teren oczyszczalni nabiera docelowego kształtu i wyglądu. W obecnym stanie może pomieścić osiem tysięcy metrów sześciennych ścieków, docelowo powinna przyjąć o cztery tysiące więcej.

Panu Andrzejowi Szczepaniakowi, dyrektorowi technicznemu Przedsiębiorstwa Wodociągów i Kanalizacji w Śremie Spółka z o.o., dziękuję za udzielenie informacji

Agnieszka JAHNS



„Siłami zjednoczeni” „Ksiądz Zapomniany”?

Król Czynu, Żelazny Patron – tak o księdzu Piotrze Wawrzyniaku mówili współcześni mu rodacy. „Niekoronowanym Królem Polaków” nazywali go jego pruscy przeciwnicy. Jednak w czasach nam bliższych pojawiło się inne określenie: „Ksiądz Zapomniany”. Czy słusznie? W znacznej mierze – niestety – tak. Przyczyną tego w okresie PRL była nie tylko „duchowna profesja” Piotra Wawrzyniaka. Chyba nadal bardziej pamiętamy o bohaterach walczących z bronią w rękę i ginących za Ojczyznę niż o tych, którzy ciężko i efektywnie pracując – w najtrudniejszych czasach – przyczynili się do zachowania świadomości narodowej, do rozwoju życia gospodarczego, społecznego i kulturalnego.

Czy w Śremie rzeczywiście doceniamy Jego zasługi dla naszego miasta, regionu, kraju? Przecież do dziś natrafiamy na materialne ślady tego, co tu stworzył; do dziś istnieją organizacje, instytucje, które założył, którymi kierował, których działalność zaktywizował.

Czy fakt, że właśnie na Ziemi Śremskiej się urodził i przez wiele lat pracował nie zobowiązuje nas do czegoś więcej niż tylko pamięć o nim?

Rocznica

O rocznicach urodzin czy śmierci wybitnych ludzi trzeba pamiętać. Szczególnie do tego zobowiązani są ci, którzy obrali ich sobie na patrona. Imię Księdza Piotra Wawrzyniaka noszą w Śremie: Spół-

dzielczy Bank Ludowy, którym kierował i Szkoła Podstawowa nr 2, do której powstania się przyczynił. Tegoroczna, 150 rocznica urodzin Patrona wymagała czegoś innego niż tradycyjne uroczystości „ku czci”. Dlatego prezes banku – Paweł Fabisiak i dyrektor szkoły – Leszek Mańkowski postanowili

zaprosić grono znamienitych osób, aby wspólnie zastanowić się nad formą nie tylko uczczenia rocznicy, ale czynnego rozwinięcia idei ks. Piotra Wawrzyniaka. Na podkreślenie zasługuje to, że wszyscy zaproszeni podjęli inicjatywę i 30 stycznia 1999 r. dokładnie 150 lat od dnia urodzin „Króla Czynu” zdecydowano o powołaniu Towarzystwa im. Ks. Piotra Wawrzyniaka w Śremie.

Towarzystwo

Zebranie założycielskie odbyło się 13 lutego br. w miejscu najbardziej do tego stosownym, bo w historycznej siedzibie banku. Założycielami Towarzystwa byli ludzie różnych przekonań politycznych – przedstawiciele duchowieństwa, radni miejscy i powiatowi, reprezentanci instytucji gospodarczych, kulturalnych i oświatowych – połączeni wspólnym pragnieniem rozwijania idei ks. Piotra Wawrzyniaka.

Zgodzili się oni, że jest możliwe – bez względu na to, skąd przychodzą i kogo reprezentują – zjednoczenie się we wspólnym działaniu. Postanowili,



że Towarzystwo będzie stowarzyszeniem zarejestrowanym, posiadającym osobowość prawną, działającym na terenie całej Rzeczypospolitej. Uchwalili statut, który jako cel Towarzystwa wymienia: krzewienie idei pracy organicznej; prowadzenie działalności oświatowej i kulturalnej; kultywowanie pamięci o ks. Piotrze Wawrzyniaku, jego dokonaniach i zasługach; podejmowaniu działań na rzecz pobudzania świadomości narodowej i patriotyzmu lokalnego; wspieranie inicjatyw oświatowych i kulturalnych podejmowanych przez inne podmioty i zgodnych z celami Towarzystwa; udzielanie wsparcia dla działań podejmowanych w celu rozwoju życia gospodarczego i społecznego.

Na liście członków założycieli Towarzystwa im. Ks. Piotra Wawrzyniaka w Śremie znaleźli się: Bogusław Bajoński, ks. Marian Brucki, Józef Czupała, Paweł Fabisiak, Tomasz Jakuszek, Hieronim Jurga, Mariusz Kondziela, Adam Lewandowski, Krzysztof Łożyński, Leszek Mańkowski, Bożena Marcinkowska, Jan Mieloszyński, Jerzy Polanowski, Andrzej Ratajczak, Danuta Ratajczak, Piotr Rojek, Andrzej Sławiński, Stanisław Stępa, ks. Zbigniew Stepczyński, Paweł Toboła, Gabriela Wasielewska, Danuta Wojciechowska.

Po uzyskaniu rejestracji odbyło się 28 czerwca br. pierwsze Walne Zebranie Członków Towarzystwa, na którym wybrano jego władze. Prezesem został Krzysztof Łożyński. Oprócz niego do Zarządu weszli: Paweł Fabisiak, Leszek Mańkowski, Piotr Rojek i Danuta Wojciechowska.

Podjęto między innymi uchwałę o wybudowaniu w Śremie pomnika księdza Piotra Wawrzyniaka.

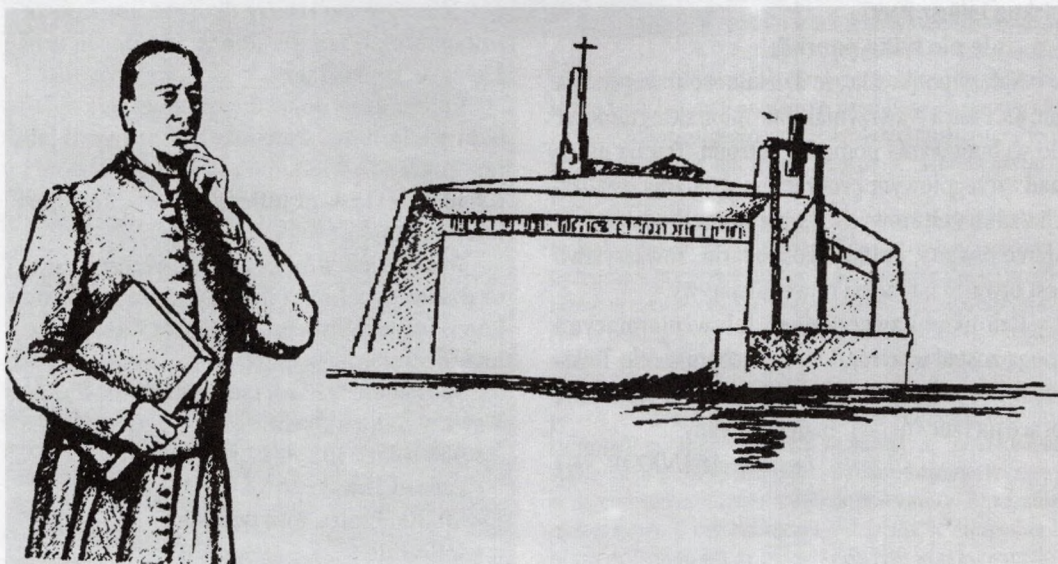
Pomnik księdza...

Pomysł takiego uczczenia pamięci naszego Wielkiego Rodaka pojawił się już na pierwszym spotkaniu inicjatorów powołania Towarzystwa. Zaraz po ukazaniu się informacji o tym w mediach niektórzy mieszkańcy naszego miasta zaczęli zgłaszać zastrzeżenia.

Czy jest to potrzebne? (...bo jest ulica Jego imienia, ... bo jest tablica pamiątkowa, ... bo będzie dużo kosztowało itp.).

Można jednak również zapytać: czy ksiądz Wawrzyniak na to nie zasłużył? ...czy naprawdę Śremu i Wielkopolski na to nie stać? ...kto, jeśli nie my mamy o Nim pamiętać?

Członkowie Towarzystwa takich wątpliwości nie mieli. Postanowiono, że pomnik powinien zostać odsłonięty 11 marca 2000 roku, czyli w 150



rocznicę powstania Banku Ludowego w Śremie, pierwszego na ziemiach polskich, którym przez wiele lat ksiądz Piotr Wawrzyniak kierował. Pomnik stanie na Jezioranach, obok kościoła Najświętszego Serca Jezusa. Dlaczego tam, a nie w historycznej części Śremu? Może taka lokalizacja będzie symbolem przeniesienia idei Księdza Patrona w XXI wiek...

Towarzystwo przeprowadziło konkurs ofert na projekt i realizację pomnika.

Finałem 2-etapowego konkursu był wybór – spośród sześciu nadesłanych – oferty poznańskiego artysty Krzysztofa Jakubiaka. Jest on między innymi autorem pomnika ks. P. Wawrzyniaka w Mogilnie (pierwszego w Polsce, odsłoniętego w 1998 r.). Projekt śremskiego pomnika zakłada przedstawienie Księdza w postaci stojącej na tle kościoła skierowanej ku tworzącemu się centrum u zbiegu ulicy Grunwaldzkiej i Kilińskiego. Zgodę na lokalizację pomnika na gruncie jeziorańskiej parafii wyraziły władze kościelne. Rangę takiej formy uczczenia Księdza Piotra Wawrzyniaka w sposób szczególny podnosi fakt, że zgodę na uczestnictwo w Komitecie Honorowym patronującym budowie pomnika wyrazili już Wojewoda Wielkopolski – Maciej Musiał i Metropolita Poznański – Ks. Arcybiskup Juliusz Paetz.

...ale nie tylko pomnik

Należy podkreślić, że działalność Towarzystwa im. Ks. Piotra Wawrzyniaka nie może się ograniczyć do wybudowania pomnika Patrona. Trwają prace nad szczegółowym programem działania, realizacji zadań statutowych. Są już pomysły działań w sferze oświaty, kultury, gospodarki. Towarzystwo jest otwarte na ludzi i nowe inicjatywy.

Członkami zwyczajnymi lub wspierającymi mogą zostać wszyscy, którzy akceptują cele Towarzystwa i pragną czynnie włączyć się w społeczną pracę na rzecz naszej „małej Ojczyzny”.

Leszek MAŃKOWSKI

Towarzystwo im. Ks. Piotra Wawrzyniaka
w Śremie

63-100 Śrem, ul. Ks. P. Wawrzyniaka 3

APEL

Zwracamy się z uprzejmą prośbą do wszystkich Instytucji, Organizacji, Stowarzyszeń; do społeczeństwa Ziemi Śremskiej i Wielkopolski; do wszystkich ludzi dobrej woli, Obywateli Rzeczypospolitej o wsparcie finansowe budowy w Śremie pomnika Księdza Piotra Wawrzyniaka.

Pragniemy w ten sposób uczcić pamięć Wielkiego Polaka, Kapłana i Społecznika; czołowej postaci przełomu XIX i XX wieku, bohatera „najdłuższej wojny nowoczesnej Europy”, okresu walki z pruskim zaborcą o zachowanie polskości; Syna Ziemi Śremskiej zasłużonego nie tylko dla całej Wielkopolski.

Życzeniem naszym jest, aby pomnik został odsłonięty 11 marca 2000 roku, w 150 rocznicę powstania pierwszego na ziemiach polskich Banku Ludowego w Śremie, którym przez wiele lat ksiądz Piotr Wawrzyniak kierował. Chcemy, aby pomnik ten był świadectwem akceptacji idei, które ten „Król Czynu” tak skutecznie wcielał w życie; aby powstał „wspólną pracą i pomocą a siłami zjednoczonymi”, zgodnie z tym co Piotr Wawrzyniak głosił, czego uczył i co realizował; aby zawsze przypominał, jak dla dobra wspólnego szukać tego, co nas łączy.

Idea budowy pomnika spotkała się z aprobatą wielu ludzi. Patronat Honorowy objęli już Wojewoda Wielkopolski – Maciej Musiał i Ksiądz Arcybiskup Juliusz Paetz – Metropolita Poznański.

Wszystkich, którzy zechcą włączyć się w to dzieło prosimy o dokonywanie wpłat na konto Towarzystwa im. Ks. Piotra Wawrzyniaka w Śremie:

Spółdzielczy Bank Ludowy im. Ks. Piotra Wawrzyniaka w Śremie

90840003-10230-27006-1

Zarząd Towarzystwa

im. Ks. Piotra Wawrzyniaka

w Śremie

W KRĘGU KSIĘDZA PIOTRA WAWRZYNIAKA

Nieco refleksji

Piotr Wawrzyniak, osobom zainteresowanym przeszłości Wielkopolski ubiegłego wieku, zawsze kojarzy się ze Śremem, z kolei Śrem - to przede wszystkim Piotr Wawrzyniak i Heliodor Święcicki. Były to dwie szczególnie zasłużone postacie w dziejach Wielkopolski czasu zaborów, działające w różnych specjalnościach i w odmiennym zakresie, lecz jednakowo zasłużone; profesorowi Święcickiemu dane było nie tylko dożyć Polski niepodległej, lecz także rektorować nowo założonej Wszechnicy Piastowskiej - późniejszemu Uniwersytetowi Poznańskiemu. Piotr Wawrzyniak zaś położył podwaliny pod finansowy monolit polskich organizacji gospodarczych zaboru pruskiego.

Zaczynał w Śremie. Urodził się niedaleko, w Wyrzece, 30 stycznia 1849 roku, w rodzinie dobrze sytuowanego rolnika Franciszka Wawrzyniaka i Cecylii z Łapińskich. Od chwili urodzenia przewidziany był do stanu kapłańskiego, nie miał też w życiu się akcentów świadczących o wątpliwościach czy wahaniach. Osiągnięcie tego celu wiodło przez wykształcenie, więc młody chłopiec rozpoczął naukę w gimnazjum śremskim. Wtedy też przeżył patriotyczną przygodę. Wychowany w kulcie tradycji wydarzeń wielkopolskiej Wiosny Ludów, w 1863 roku postanowił dotrzeć do oddziału powstańczego. Zrażony niepowodzeniem eskapady, szybko się jednak przekonał, że jego przeznaczeniem jest nie praca na roli, lecz szkolna ława, a potem sutanna - zatem dalsze drogi życiowe miał już uporządkowane.

W 1867 roku Piotr Wawrzyniak uzyskał świadectwo dojrzałości i wstąpił do seminarium duchownego w Poznaniu; w 1871 roku przejściowo studiował teologię w Monasterze (Münster), a w sierpniu następnego roku w Dalewie odprawił mszę prymicyjną. Wreszcie w 1872 roku wrócił do Śremu; następne 26 lat związał ze stronami rodzinnymi.

Początkowo był tylko wikariuszem i mansonarzem, czyli do jego obowiązków należało tylko odprawianie mszy i modłów kapłańskich. Cały jednak czas pozostający mu do

dyspozycji przeznaczył na działalność społeczną. Jeszcze w gimnazjum przewodniczył zakonspirowanemu kółku samokształceniowemu "marianów", teraz zajął się podniesieniem poziomu wiedzy śremskich rzemieślników i rolników. Wiedza uzyskana w gimnazjum i seminarium duchownym, w połączeniu z samorodnym talentem organizacyjnym i

matematycznym, w krótkim czasie pozwoliły mu niemal zmonopolizować szerzej zakrojoną działalność w Śremie, stanął na czele niemal wszystkich istniejących tu organizacji społecznych i gospodarczych.

Dalsze koleje działalności księdza Piotra Wawrzyniaka doskonale są znane z licznych publikacji. Wiadomo, że jako patron Związku Spółek Zarobkowych i Gospodarczych (od 1891), wspólnie ze stosunkowo niewielkim gronem najbliższych współpracowników, utworzył w zaborze pruskim potężny system finansowy, który dał oparcie dla inicjatyw ekonomicznych środowisk polskich; jego "imperium" stanowiło jeden z głównych filarów tego systemu. Po przeniesieniu w 1898 roku

na probostwo do Mogilna, nie przerwał swej działalności, lecz jedynie zmodyfikował ją - w najmniejszym stopniu nie zwalniając normalnego rytmu działalności duszpasterskiej. Rzeczywiście był, jak wtedy mawiano, "królem czynu", prawdziwym tytanem pracy.

Jedną z podstawowych cech sukcesu księdza Wawrzyniaka był daleko idący, bezwzględnie przezeń przestregany legalizm poczyni, dostosowany do mentalności urzędników pruskich i ducha całego państwa Hohenzollernów. Nawet inicjatywy propagandowe, patriotyczne (jak wystawienie pomnika poległych powstańców z 1848 roku na cmentarzu śremskim), miały oparcie w konkretnych przepisach, dokumentach, paragrafach. W rezultacie urzędnicy pruscy mieli do czynienia ze swoistym "syndromem Wawrzyniaka", który realizował narodowe dążenia Polaków, w najmniejszym stopniu nie dając podstaw do wykazania niekompetencji czy oskarżenia o działalność niezgodną z prawem. Było to wtedy coś nowego, jako że przyzwyczajono



no się już do postrzegania Polaków jako naród skłonny do brawury, nerwowych reakcji i gwałtownych poczynąń, lecz nie środowisko zdolne do długotrwałej systematycznej i przemysłowej – a przy tym skutecznej działalności organizacyjnej. Dlatego też charakterystyczną cechą Wawrzyniaka – przy całej jego wielkoduszności dla pokonanego przeciwnika – była bezwzględność oceny pracy osób, które mu podlegały. Był świadomy, że najmniejsza nieprawidłowość, niekompetencja, nie mówiąc już o próbie małwersacji – natychmiast byłyby wykorzystane przez administrację pruską dla podkopania całego systemu polskiego. Jak mawiał, u niego wszystko musiało być “w porządku”.

Nie wszystko jednak Wawrzyniakowi się udało. Trudno zaliczyć do sukcesów lata 1894 – 1898, gdy przekonał się, że nie za bardzo nadaje się do pracy parlamentarnej, zaś Polonia berlińska inaczej rozumuje niż jej rodacy z Wielkiego Księstwa Poznańskiego. Nie znalazł zrozumienia dla swych organizacyjnych i nieco dyktatorskich poczynąń także wśród Polonii amerykańskiej, dokąd dotarł w roku 1896. W takich sprawach i razach był jednak zbyt mało elastyczny – najlepiej sprawdzał się na znanym terenie, u siebie, w Poznańskim.

Spójrzmy więc na zasłużonego księdza także jako na człowieka. Fascynująca była powierzchowność Wawrzyniaka: bardzo wysoki, potężnej tuszy, swoją zwalistą, majestatycznie poruszającą się postać budził respekt otoczenia; kiedyś w Dreźnie nawet zamówiono specjalne łóżko, gdyż w zwykłym byłoby mu za ciasno. Tendencję do tycia miał zresztą już jako młody kleryk seminarium duchownego. Jednak w miarę upływu czasu i narastania przeżyć, sympatyczna, trochę jowialna twarz Wawrzyniaka nabierała “twardości” i raczej trudno powiedzieć, by zachęcała do nawiązywania znajomości. On sam zresztą raczej niechętnie podejmował kontakt z osobami, których nie znał wcześniej. Z natury mało mówny, posługiwał się dość prostym zasobem słów, co wprawdzie czyniło go komunikatywnym w kontaktach z parafianami czy interesantami w sprawach gospodarczych, ale partnerem do filozoficznej dyskusji zacytowany ksiądz raczej nie był. Nie lubił pisać (sam zresztą mawiał, że jest do działania, a nie pisanie czy gadanie), a jego listy – o ile przez niego były redagowane – to raczej rzeczowe, krótkie dyspozycje i zbiór konkretnych wiadomości, aniżeli wymiana myśli. W sumie w otoczeniu budził respekt i szacunek, ale trudno powiedzieć, by go lubiano czy cieszył się popularnością. Poza tym raczej był konserwatywny w ubiorze, codziennym życiu, niechętnie przyjmował wszelkie nowinki techniczne (poza pociągami, którym podróżował regularnie), czytał chyba niewiele, ale chętnie uczęszczał do teatru i opery; operetka go nie pociągała, do kina się nie przekonał. Wręcz morderczy tryb życia, który prowadził, z czasem spowodował cukrzycę i schorzenie serca – co i w końcu doprowadziło do przedwczesnej śmierci

Wawrzyniaka w Poznaniu, 9 listopada 1910 roku. Nic dziwnego, skoro zacytowany ksiądz potrafił w ciągu jednego tygodnia przemieszczać się z jednego końca zaboru pruskiego w drugi, wykonywać swe normalne obowiązki duchownego, kierować kilkoma instytucjami równocześnie, a przy tym jeść i spać nieregularnie, jakby na zapas. Wykonywał sam pracę, która dziś jest udziałem całego zespołu ludzi.

A jednak ten z natury surowy i pozornie oschły, rzeczowy duchowny, potrafił wykazać się (dość swoistym zresztą) poczuciem humoru. Lubiał dzieci, kochał przyrodę, nawet próbował pisać wiersze, ładnie też śpiewał. Ciekawe, że ten człowiek o fenomenalnej pamięci do najbardziej nawet skomplikowanych obliczeń finansowych (notatek nie robił sobie prawie wcale), miał trudności z zapamiętaniem twarzy spotkanych osób.

Piotr Wawrzyniak był nie istniejącym dziś typem człowieka – instytucji. Inna w tamtych czasach była organizacja dnia pracy, zakres obowiązków, możliwości fizyczne pojedynczego człowieka. W rezultacie były masy ludzi biernie przyjmujących nowinki i propozycje działania – i stosunkowo niewielka lecz aktywna ponad siły grupa działaczy. Ludzie ci musieli wykonywać pracę tytaniczną, kosztem własnego zdrowia, czasu, życia osobistego. Na stałe przeszli na karty podręczników historii, ale... żyli stosunkowo krótko. Analiza życiorysów choćby Karola Marcinkowskiego, Hipolita Cegielskiego, Piotra Wawrzyniaka, wyraźnie wskazuje na poświęcenie tych ludzi dla kraju, dla otoczenia – ale też i dla własnej rodziny. Żaden z nich nie czynił z siebie cierpiennika, męczennika sprawy narodowej. Gdy zachodziła potrzeba – to się walczyło, jednak podstawowym kierunkiem działania tych ludzi była konkretna praca.

Naturalną kolejną rzeczą jest pytanie, czy dziś tacy ludzie są nam potrzebni? I tak, i nie. Inne wtedy były realia epoki, inni ludzie i mechaniczne przenoszenie ich jako ideałów i wzorców na dzisiaj, byłoby anachronizmem. Jednak szczególnie potrzeba nam ludzi tak samo jak oni bezinteresownych w działaniu, umiejących stawiać interes kraju ponad swoje sprawy prywatne czy program partii. Najbardziej nam dziś potrzeba ludzi umiejących myśleć kryteriami państwa, społeczeństwa, narodu, rozumujących tak jak wielkopolscy organiczni, warszawscy pozytywści, działacze tacy jak Józef Wybicki, Józef Piłsudski, Ignacy Daszyński, Roman Dmowski, Ignacy Jan Paderewski. Wciąż jeszcze błysk szabli jest dla nas bardziej atrakcyjny niż podobny błysk – lecz pługa, szcęk cierpienniczych kajdan wydaje się miłszy od szelestu kartek książki. A przecież potrzebne jest i jedno, i drugie, każda pora ma swój czas. Czas walki już minął, nadeszła pora budowania, tego zaś, po doświadczeniach ostatnich dwustu lat jak się wydaje, Polacy dopiero muszą się uczyć.

Marek REZLER

POROZUMIENIE

Wzajemne komunikowanie jest proste, szczególnie w sytuacjach konfliktowych – gdzie interpretacja komunikatu przez odbiorcę nie zawsze jest zgodna z intencją nadawcy. Obopólne zrozumienie możliwe jest, gdy nasze intencje są zgodne z tym, co chcemy powiedzieć; najważniejsza jest tu samowiedza, umiejętność dostosowania komunikatu do odbiorcy oraz umiejętność sprawdzenia interpretacji odbiorcy z naszą intencją. Podtrzymanie rozmowy umożliwiają często tak proste zabiegi jak: nawiązanie kontaktu wzrokowego, aktywne słuchanie, potakiwanie, uśmiech, koncentracja na rozmówcy i temacie rozmowy. Milczenie, przerywanie, dopowiadanie, używanie generalizatorów, zadawanie pytań nie na temat – to sygnały odbierane jako brak zainteresowania rozmową, pozostawiające cień lekceważenia wyczuwalny dla naszego rozmówcy. Za pojęciami: dominacja, uległość, równość, kryją się trzy główne style komunikowania się. Pierwszy styl agresywny: dominujący nadawca kontaktuje się z innymi tylko, gdy są oni mu potrzebni, interesuje go władza. Drugi styl, to przypadek nadawcy starającego się za wszelką cenę uzyskać względy innych, czującego się bezużytecznie, gdy nie jest komuś potrzebny. Za trzecim stylem kryje się rozpropagowana dzisiaj – choć często źle rozumiana asertywność. Być asertywnym oznacza nie tylko umiejętność powiedzenia „nie” – ale i zrozumienie odmowy innych... Pojęcie to bazuje na szacunku dla własnych pragnień i tolerancji dla potrzeb innych ludzi. Osoba asertywna pragnie poznać siebie, zaczyna patrzeć bardziej przyjaznym okiem na siebie, stara się zrozumieć siebie i innych, dlatego potrafi (nie atakując, nie zaniżając swej samooceny) ujawnić swe przemyślenia rozmówcy i efektywnie się z nim porozumiewać. Konstrukttywne porozumiewanie jest łatwiejsze: gdy staramy się poznać swój styl reagowania (jego wady i zalety), gdy mówimy partnerowi o swych potrzebach i obawach – jednocześnie próbując jak najlepiej go poznać. Ujawnienie doświadczeń buduje atmosferę zaufania, dzieląc się osobistymi przeżyciami z rozmówcą okazujemy mu szacunek. Rozmawiając starajmy się zadawać pytania, dzięki nim re-

dukujemy ryzyko wzajemnych nieporozumień oraz uzyskujemy informacje o partnerze. Ważnym fundamentem porozumienia jest informacja zwrotna, informuje ona rozmówcę o naszych uczuciach, postawach względem jego konkretnych zachowań i odwyrotnie. Unikajmy jednostronnych ocen, nadmiernych uogólnień czy interpretacji, które często kryją w sobie element pomówienia. Doceniśmy rozmówcę dając mu swobodę w podejmowaniu decyzji (ograniczając lawinę „dobrych rad”), skoncentrujmy się na rozmowie – spróbujmy nie kryć się za bujną fantazją, obłudą. Szczerość na początku nawiązywaniu kontaktu jest mniej bolesna i prostsza, niż w sytuacji narastającego konfliktu. Ostatni fundament rozmowy jakim jest aktywne słuchanie ułatwić mogą następujące zabiegi:

* parafraza – powtarzamy własnymi słowami najważniejsze stwierdzenia rozmówcy, sprawdzając czy dobrze zrozumieliśmy ich treść i dając sygnał do dalszej współpracy;

* odzwierciedlanie – dopasowanie do świata rozmówcy, jego emocji i nastrojów, jego siły i tempa mówienia, dopasowanie do jego mowy ciała. Czasami wystarczy pochylić się ku rozmówcy i uśmiechnąć się, by atmosfera zrozumienia przełamała barierę kłopotliwego milczenia;

* prowadzenie – zadawanie pytań, porządkowanie toku rozmowy, ośmielanie partnera.

Wzajemna komunikacja powinna być czymś prostym – ale w zestawieniu z nieśmiałością, samotnością, zabieganiem czy z cywilizacją cierpiącą na brak szczerości – nic nie wydaje się już proste... Czemu ukrywamy uczucia, potrzeby, czemu nie rozmawiamy o nich z najbliższymi? Każdy szuka na to pytanie swojej odpowiedzi w obliczu nawarstwiającego się konfliktu; pamiętamy jednak by nie zarzucać obojętności tym, którzy po prostu nie znają naszych pragnień – bo nie dajemy ich nikomu poznać. Mam nadzieję, że Ty czytelniku, znalazłeś tu coś pożytecznego dla siebie. Spróbuj rozmawiać poznając siebie i innych...

Agnieszka ANDRZEJEWSKA

ŚLAWNY I NIEZNANY

Znane jest przysłowie "Cudze chwalicie, a swego nie znacie". Ziemia śremska "spłodziła" już wielu sławnych i mądrych ludzi, którzy nie zawsze zostali zauważeni i docenieni. Żle by się stało, gdybyśmy nie dostrzegli wspaniałego talentu Sławomira Kramma – śpiewaka operowego, syna śremskiej ziemi.

Urodził się w 1970 r. w Śremie. W wieku 10 lat rozpoczął naukę gry na akordeonie w Ognisku Muzycznym w rodzinnym mieście. Samodzielnie uczył się gry na gitarze. Jednocześnie rozwijał swoje zainteresowania w Chórze Kościelnym. Po maturze rozpoczął naukę w Policealnym Studium Piosenkarskim w Poznaniu. Tam okazało się, że jego głos ma duże możliwości rozwoju w repertuarze klasycznym. Skończył Akademię Muzyczną w Poznaniu na wydziale wokalnno-aktorskim w klasie znanego śpiewaka doc. Mariana Kouby. Zadebiutował w 1995 roku w Teatrze Wielkim w Poznaniu i od tego czasu nastąpił dynamiczny rozwój jego kariery.

Ze Sławomirem Krammem rozmawia Przemysław JAHNS

Kiedy okazało się, że posiada Pan talent i czy ktoś namówił Pana do kształcenia swojego głosu?

Już od małego dziecka miałem zainteresowania w kierunku muzycznym. Moją pierwszą edukację muzyczną zacząłem w Ognisku Muzycznym w Śremie. Uczylem się tam grać na akordeonie u Pana Wojciecha Szycy. Jednak szybko okazało się, że sam akordeon już mi nie wystarcza i lekko odstawiając na bok ten wspaniały instrument zacząłem interesować się także innymi instrumentami muzycznymi. Muzyka wypełniała mi dokładnie każdą wolną chwilę, im bardziej się w nią wgłębiałem, tym bardziej ją odkrywałem i stawała się dla mnie coraz piękniejsza.

Teraz odpowiem na pytanie jak to się stało, że zacząłem w ogóle śpiewać? Wyznam szczerze, że spało to na mnie jak grom z jasnego nieba. Zawsze miałem ku temu ciągoty, ale dopiero od 20 roku życia zacząłem traktować to bardziej poważnie.



Otóż pewnego roku końca lat osiemdziesiątych przyjechała do mojego domu jak to się mówi dalsza kuzynka, której wcześniej nigdy nie miałem okazji poznać, a o której istnieniu coś tam wiedziałem. Wydawałoby się, że to nic takiego szczególnego, ale właśnie od tej wizyty można powiedzieć, że wszystko się zaczęło. W tym czasie w Poznaniu odbywał się Festiwal Piosenki Angielskiej, w którym to moja kuzynka brała czynny udział, ponieważ wówczas prezentowała bardzo wysoki poziom wokalny.

Bliskie położenie Śremu od Poznania pozwoliło jej zatrzymać się gościnnie w moim domu. Podczas jej pobytu w Śremie bardzo szybko odkryliśmy, iż nasze zainteresowania muzyczne są bardzo zbliżone i jak to się mówi "odbieramy na tych samych falach". Kuzynka zaprezentowała mi z wielką klasą swój repertuar pokazując przy tym niesamowitą technikę wokalną oraz pięknie brzmiący głos. Po zaśpiewaniu poprosiła mnie, abym także przedstawił jej moje "zdolności muzyczne", a przede wszystkim bym jej coś zaśpiewał. Pamiętam, że akompaniując sobie na gitarze zaśpiewałem kilka piosenek ze swojego repertuaru

m.in. także parodiując Elvisa Presleya. Podobno tak ją tym zaskoczyłem, że prawie tchu nie mogła złapać. Kiedy skończyłem już śpiewać stanowczo stwierdziła, że koniecznie muszę coś z tym zrobić, bo byłaby bardzo wielka szkoda, aby taki materiał głosowy się zmarnował. Kuzynka prezentowała rzeczywiście wysoki, profesjonalny poziom, ponieważ na tym festiwalu zajęła pierwsze miejsce. Później współpracowała z wieloma znanymi muzykami, a także z zespołem Walkaway. Za jakiś czas zaproponowano jej stypendium w USA, w Bostonie, w tamtejszym konserwatorium na wydziale jazzu. Patrząc na to wszystko już teraz z perspektywy czasu doszedłem do wniosku, że jej słowa dotyczące mojego głosu jednak utkwily gdzieś na kilka lat głęboko we mnie i były w jakimś stopniu jednym z decydujących czynników wyboru zawodu wokalisty, ale jeszcze nie śpiewaka operowego.

Uzupełniając odpowiedź na to pytanie powinienem też wspomnieć, że był w moim życiu bardzo długi okres fascynacji głosem Elvisa Presleya. W moim młodzieńczym wieku znałem chyba jego większość piosenek i z tego, co sobie przypominam wykonywałem je bardzo podobnie jak sam Elvis. Niektóre Śremianki mogą jeszcze to pewnie pamiętać, bo w tamtych czasach mówiąc żargonem i oczywiście żartując "brałem" dziewczyny na gitarę i śpiew. Wyznam, że moje zafascynowanie głosem Elvisa Presleya, także miało duży wpływ na wybór zawodu piosenkarza. Czyli tych czynników można powiedzieć, że było kilka lecz pozostawały one jeszcze długo tylko w sferze nierealnych marzeń.

Jakie ukończył Pan szkoły i jakim był Pan uczniem, a później studentem?

Po szkole podstawowej nie planowałem zostać muzykiem, ponieważ zdawałem sobie sprawę, że mam duże braki. Po Ognisku Muzycznym mówiąc szczerze nie miałem zbyt dużych szans na dalszy rozwój w średniej szkole muzycznej. Wybrałem szkołę zawodową przy Odlewni żeliwa, ponieważ w szkole podstawowej nie należałem do prymusów. Przyznam, że szkoła ta czyli "zawodówka" w dużym stopniu przyczyniła się do mojego dalszego rozwoju muzycznego. Pewnie brzmi to jak zupełny paradoks, ale to prawda. Edukacja w tej szkole nie wymagała ode mnie za dużo nauki, więc co za tym idzie miałem

wiele czasu na ćwiczenia. Uzyskując zawód automatyka zacząłem pracować w Odlewni żeliwa w Śremie i równolegle kontynuowałem naukę w technikum wieczorowym. Okres ten należał do najcięższych w moim dotychczasowym życiu – praca, szkoła, a dość często w nocy jakieś granie. Od piętnastego roku życia grałem w najróżniejszych zespołach muzycznych, a także w zespole kościelnym na Jezioranach.

Marzenia zaczęły nabierać koloru i sensu dopiero po maturze. Mając już świadectwo dojrzałości w rękę pomyślałem, że może nie jest jeszcze za późno na dalszy rozwój muzyczny i kształcenie głosu. Dowiedziałem się, że istnieje w Poznaniu Policealne Studium Piosenkarskie. Doszedłem do wniosku, że przecież nic mnie to nie kosztuje, a nuż się uda. Dowiedziałem się kiedy są egzaminy i postanowiłem spróbować. Klimat tych egzaminów spowodował, iż uważałem się wtedy za chłopca z prowincji. Troszkę niewośwo czułem się sam w garniturku i z gitarą, tym bardziej, że konkurencję miałem ogromną. Wraz ze mną zdawało aż 106 kandydatów, a na pierwszy rok mieli przyjąć tylko 8 osób. Oczywiście stwierdziłem, że z taką konkurencją nie mam żadnych szans i nie pojechałem nawet na ogłoszenie wyników.

Siedziałem sobie spokojnie w pracy, pamiętam jak dziś, było śniadanie. Przy posiłku miałem czasami zwyczaj przeglądać prasę i ku mojemu zdziwieniu zobaczyłem się w gazecie na zdjęciu. Do dzisiaj mam jeszcze wycinek z tej gazety. Zupełnie nie wiedziałem, co jest grane i dlaczego? Zacząłem nerwowo czytać informacje pod zdjęciem. Artykuł dotyczył właśnie egzaminów do Studium Piosenkarskiego, a ja byłem tam wymieniony, że niby podobałem się komisji. Tkwiłem dalej w przekonaniu, że to jakaś pomyłka i wtedy chyba ktoś z rodziny zadzwonił do mnie i potwierdził, że jednak jestem przyjęty do tej szkoły. Dalej nasuwało się pytanie, co tu teraz zrobić? Był to początek lat 90-tych. Powoli zaczynały się problemy z pracą. Ja do końca nie wierzyłem w swoje możliwości i nie byłem pewny czy sobie poradzę z muzyką tak poważnie, już profesjonalnie. Miałem trudną decyzję do podjęcia, czy zwolnić się z pracy, czy dać sobie spokój? Przypominałem sobie wtedy słowa mojej kuzynki oraz nierealne marzenia, które towarzyszyły mi już od najmłodszych lat. Pomyślałem: niech się dzieje wola nieba. Zwolniłem się z pra-

cy i zacząłem naukę w Policealnym Studium Piosenkarskim. Okazało się, że bardzo dobrze mi idzie. Była to szkoła w której pozwalano mi robić to, co lubiłem najbardziej czyli śpiewać i grać. Myślę, że właśnie tam się tak naprawdę dopiero odnalazłem. Dwa lata nauki w tej szkole przeleciały dosłownie jak wakacje. Kończąc tę edukację uzyskałem kolejny zawód, tym razem zupełnie inny jak poprzednie: muzyk wokalista o specjalności piosenkarz. Podczas nauki w tej szkole miałem małą przygodę na Scenie Debiutów. Pokazali mnie nawet w telewizji na całą Polskę z Orkiestrą Zbigniewa Górnego. Poznałem tam wielkie osobistości polskiego świata muzycznego i ten mój debiut piosenkarski właściwie na tym się zakończył. Pozostało mi tylko na pamiątkę nagranie na kasiecie video. Koledzy, którzy uczęszczali ze mną do tej szkoły zajmują się teraz głównie muzyką rozrywkową i to czasami nie najwyższych lotów, mimo że ich ambicje muzyczne w latach szkolnych były bardziej wygórowane. W jakiś sposób staram się ich zrozumieć. Muzyką rozrywkową rządzi komercja, czyli pieniądze, a z czegoś muszą żyć. Po zakończeniu tej szkoły zaczął się pro-

blem z pracą. Oczywiście mogłem śpiewać na różnych imprezach w restauracjach, czy jakiś tam reklamówkach w radiu itp. ale taka praca mnie zupełnie nie satysfakcjonowała. To jest tak, że jak chłopiec po "zawodowce" i jeszcze z prowincji (nie obrażając Śreму) się rozpędzi, to trudno go zatrzymać i tu pasuje to mądre polskie przysłowie oczywiście w sensie pozytywnym że: "w miarę jedzenia apetyt rośnie". W samym studium jedna z Pań profesorek cały czas przekonywała mnie, że jest w moim głosie jeszcze większy potencjał i namawiała mnie, bym startował na Akademii Muzycznej w Poznaniu. Egzaminy były bardzo trudne, ze śpiewu, aktorstwa, z kształcenia słuchu, teorii i z tańca, a atmosfera bardzo poważna zupełnie inna jak w studium. Pomimo, że miałem już większą świadomość muzyczną, to nie miałem zielonego pojęcia, czy dobrze wykonuję repertuar zupeł-

nie inny od rock and rolla, czyli klasyczny. Próbowałem tylko jak najlepiej pokazać, że mam donośny głos i że wiem o czym śpiewam pokazując to w sposób aktorski mimiką twarzy i gestykulacją rąk. Śpiewałem "Arię Szampańską" z opery "Don Giovanni" i arię Gulie-ma z opery "Cosi fan tutte". Odstawiłem tam podobno niezłą komedię i to

mi bardzo pomogło. Śpiewając arię Don Giovanniego udawałem, że jestem pijany i tym uzyskałem wyższą punktację wśród komisji. Konkurencja była olbrzymia, około 50-ciu kandydatów. Liczba zdających zmniejszała się po każdym etapie egzaminu.

Tylko sześć osób znalazło się na liście studentów pierwszego roku. Wśród nich szczęśliwym zbiegiem okoliczności znalazłem się również ja. Pierwszy rok na tej uczelni był dla



mnie bardzo trudny. Na fortepianie grałem nawet do ośmiu godzin dziennie. Na drugim roku wszystko zaczęło się powoli klarować, ale już po trzecim roku miałem uznanie i wysokie notowania u profesorów. Studia na wydziale wokalnno-aktorskim trwają aż sześć lat, kończą się pracą magisterską, oraz zaśpiewaniem dwóch recitali dyplomowych. Obydwa recitale są różnicowane, jeśli chodzi o repertuar utworów nie mogą się powtarzać, wykonuje się je z pamięci przy akompaniamencie fortepianu oraz kameralnych składów orkiestrowych, a każdy program musi trwać minimum jedną godzinę. Koncerty dyplomowe są otwarte dla publiczności i zaprasza się na nie rodzinę oraz wszystkich, którzy dyplomantowi dobrze życzą. Teraz może będę trochę nieskromny w mojej wypowiedzi lecz z drugiej strony jest to fakt i trudno go pominąć. Otóż znalazłem się w siódemce najlepszych studentów i zostałem wyróżniony przez władze Akademii Muzycznej do zaśpiewania Koncertu Absolutów z towarzyszeniem Orkiestry Filharmonii Poznańskiej pod batutą Piotra Wajraka. Koncert odbył się w Auli Uniwersyteckiej 26 lutego 1999 roku.

Z Pana wypowiedzi wynika iż jako uczeń prymusem Pan nie był, ale studentem był Pan bardzo dobrym?

Tak, to prawda. Rzeczywiście znalazłem się w czołowie studentów. Wynika to tylko z tego, iż w czasie studiów odnalazłem to czego w poprzednich szkołach nie mogłem znaleźć – po prostu zaczęły się spełniać moje marzenia i uwierzyłem w siebie.

Jak i gdzie odbył się Pana zdaniem najważniejszy koncert w dotychczasowej karierze?

Takich koncertów zaśpiewałem już sporo. I chcę podkreślić, że każdy koncert jest dla mnie bardzo ważny, nawet jeśli miałbym śpiewać dla jednej osoby. W mojej profesji śpiewa się koncerty estradowe czyli recitale, a także wykonuje się utwory sceniczne. Może nie wszyscy zdają sobie z tego sprawę, ale śpiewacy operowi to również aktorzy, którzy wcielają się w różne postacie w dziełach operowych, operetkowych i musicalowych w teatrach operowych. Za najważniejszy dotychczasowy debiut sceniczny uważam mój udział w musicalu "Krasnoludki, krasnoludki" w Teatrze Wielkim w Poznaniu. Jest to przedstawienie dla dzieci od lat 3 do 100. W tym musicalu gram bardzo wdzięczną rolę krasnoludka. Tych spek-



takli odbyło się już około 60-ciu i we wszystkich brałem udział. Wiem, że były też wycieczki ze Śremu lecz jestem tak ucharakteryzowany, że nie ma żadnych szans, by ktoś mnie rozpoznał. Następnymi postaciami, w które się wcielałem to Papageno z opery "Czarodziejski flet" V.A. Mozarta, w "Weselu Figara" tego samego kompozytora śpiewam tytułową postać Figara, w "Cyruliku Sewilskim" G. Rossiniego kreuję partię Fiorella (pijanego dyrygenta). Jeśli zaś chodzi o estradę to ważnym dla mnie koncertem był właśnie ten, o którym już wcześniej wspominałem z Filharmonią Poznańską. Orkiestra w składzie około 50-ciu osób, a ja sam jeden solista. Śpiewałem bardzo trudny technicznie utwór z oratorium "Mesjasz" G.F. Haendla – "What do the nations".

Wiem, że dużo Pan podróżuje. Czy śpiewał Pan również za granicą?

Rzeczywiście w wielu miejscach na kuli ziemskiej już byłem. Zjechałem także prawie całą Europę. Nie zawsze podróże były związane z koncertami, ale chociaż nie miałem żadnych występów to tak wszędzie, gdzie się tylko znalazłem proszono mnie bym coś zaśpiewał. Muzyka bardzo przybliżyła i w jakiś tajemniczy sposób integruje ludzi. Dzięki temu, że śpiewam mam bardzo dużo przyjaciół w wielu zakątkach świata. Coś w tym jest, bo każdy człowiek, z którym mam okazję pierwszy raz się zetknąć dowiadując się, że jestem śpiewakiem prosi mnie bym mu dał jakąś próbkę mojego głosu. Ja raczej nigdy nie odmawiam,

bo to jest dla mnie tak naturalne i od lat już z tym żyję. Uwielbiam śpiewać nawet w najbardziej nieodpowiednich do tego miejscach publicznych i w wyniku tego dochodzi przy tym do bardzo humorystycznych sytuacji. Wychodzę jakby nigdy nic do ludzi i pytam się czy czasami nie wiedzą kto tak ładnie tu śpiewał? W ten sposób badam też reakcje słuchaczy.

Jeżeli chodzi o podróże, to do najciekawszych w moim życiu zaliczam wyjazdy do Japonii. Miałem okazję być w tym kraju już dwukrotnie. Pierwszy raz zwiedzałem Japonię latem 1996 roku i byłem w tym kraju przez jeden miesiąc. Drugi raz miało to miejsce w zeszłym roku 1998 i mój pobyt trwał już wtedy trzy miesiące. Zaśpiewałem tam kilkanaście koncertów, recitałem pieśniarsko-operowych współpracując z pięcioma pianistami – rodowitymi Japończykami. Mając na uwadze różnice kulturowe w tym kraju, a także nie ukrywam, by uzyskać większy kontakt z publicznością japońską włączyłem do mojego repertuaru pieśni, które śpiewałem w języku japońskim. Najciekawsze jest z tego to, że oni naprawdę mnie rozumieli. Byłem tam można powiedzieć w jakiś sposób egzotyczny. W rozumieniu Japończyków pochodziłem z kontynentu, który jest kolebką muzyki operowej. Pomimo, że Japończycy uważają muzykę operową jako europejską, to doskonale są zorientowani w tym temacie i niejednego Polaka mogliby swoją wiedzą zaskoczyć.

Czy otrzymał Pan jakieś angaże na koncerty w Śremie?

Z tego co sobie przypominam, to nigdy nikt nie takiego mi nie zaproponował. Owszem śpiewam od czasu do czasu "Ave Maria" w śremskich Kościołach najczęściej na prośbę znajomych i to jest wszystko. Zdarzały się czasami inne propozycje, ale przeważnie odmawiałem, ponieważ bardzo trudno było mi wytu-

maczyć proponującym, że jestem śpiewakiem operowym i wykonuję troszkę inny repertuar nie zawsze "wpadający w ucho".

Śpiewał Pan nawet w Japonii i to z wielkim uznaniem. Dlaczego więc jest Pan mało znany w swoim rodzinnym mieście?

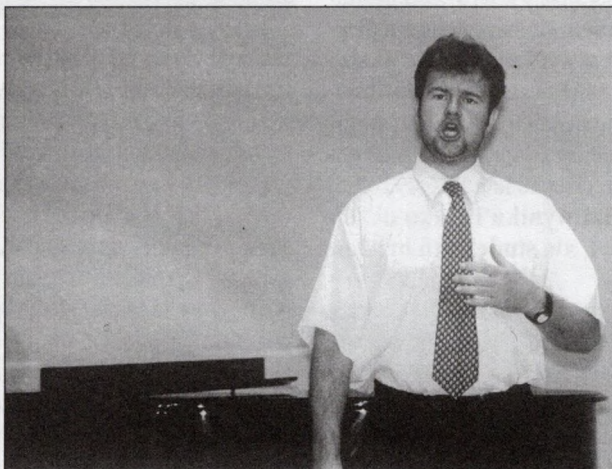
Nigdy się nad tym nie zastanawiałem. Zupełnie nie wiem jak odpowiedzieć na to pytanie. Może jak na Śrem to jeszcze zbyt mało potrafię? Mnie nigdy w życiu nie zależało na tym by stać się sławnym w Śremie. Przecież nie wypada mi biegać po targu, czy po ratuszu i reklamować się jako śpiewak operowy.

Jakie jest Pana największe marzenie?

Moim największym marzeniem jest żyć śpiewając, tak aby w przyszłości utrzymać za to w sposób godny rodzinę.

Plany na przyszłość?

W grudniu tego roku, jeżeli wszystko dobrze się potoczy, planuję kolejny wyjazd do Japonii i być może do Korei Południowej. Jeszcze nie wiem na jak długo, ale Sylwestra 2000 chcę spędzić z zamieszkałą w Japonii moją "drugą połową". Staram się także o stypendium zagraniczne na studia



podyplomowe. Oprócz tego przygotowuję program godzinnego recitalu o troszkę lżejszym charakterze z muzyką musicalową. Obecnie sytuacja w polskich teatrach operowych jest bardzo niekorzystna dla młodych śpiewaków. Na stały angaż praktycznie nie ma szans, ponieważ dyrektorzy teatrów borykają się z problemami finansowymi. Większość moich kolegów angażuje się w teatrach zagranicą i ja też poważnie się nad zastanawiam.

Życzę Panu aby poprzez swój śpiew stał się Pan sławny na całym świecie oraz aby praca bardzo Pana satysfakcjonowała, a swoim głosem rozślawiał Pan nasz region we wszystkich krajach świata.

*Dziękuję za rozmowę
Przemysław JAHNS*

Ostrygi, krewetki i pędy bambusa, czyli Śrem po wakacjach

Słowo daję, że nie wiem, kto i o czym będzie pisał we wrześniowym numerze "Gazety Śremskiej" w cyklu „Listy z podróży”. Czy będzie to wspomnienie wakacyjnego pobytu we Włoszech, Hiszpanii, na Lazurowym Wybrzeżu, w Meksyku czy w Zakopanem. Nie wiem tego. I bardzo dobrze, bo to, co chcę dziś powiedzieć, nie jest żadną aluzją do żadnej konkretnej wycieczki któregośkolwiek z czytelników "Gazety".

A swoją drogą, jak w oczach Śremanina, który właśnie powrócił z Majorki albo z Grecji, albo z Hawajów, może wyglądać Śrem? Szare miasteczko, w którym

nic nie można kupić; nie ma oczywiście żadnych rozrywek; drogi i ulice składają się niemal wyłącznie z dziur; policjanci są bardziej surowi, a mieszkańcy jakoś naburmuszeni; w sklepach i na targowiskach brakuje podstawowych wręcz artykułów (nie ma np. mango, świeżych ostryg i krewetek, pędów bambusa, francuskich twardych serów i miliona innych równie niezbędnych rzeczy); na kąpielisku nie ma wysokiej zjeżdżalni, ani dmuchanego zamku; nawet klimat jest wyraźnie nieprzyjazny, a wręcz wrogi gatunkowi *Homo sapiens*...

I co nam dały wakacje? Teraz przydałby nam się jakiś kurs pt. "Sztuka powrotu z wakacyjnego wypoczynku". Powrót do rzeczywistości może być przecież bolesny, nie tylko kiedy się wraca z Karaibów czy Borneo, ale chociażby z Jarosławek. Ci, którzy na wakacje przyjechali do Śremu i tu zostali serdecznie przyjęci, tu wypoczywali, też będą być może mieli problemy, aby jakoś pogodzić się ze swoją rzeczywistością.

Po wakacjach nie tęsknimy więc tak naprawdę do miejsc, w których spędzaliśmy urlop, ale do atmosfery sielanki. Na wczasach bowiem nie trzeba zabiegać o dochody (zadbaliliśmy już o nie wcześniej), nie trzeba martwić się wczesnym wstawaniem (dzień zaczyna się wtedy, gdy

my wstajemy, a nie wstajemy wtedy, kiedy zaczyna się dzień), praniem (zabrudzone ubrania pierze się po powrocie), gotowaniem (można sobie ponarzekać na jakąś restaurację czy bar), kłopotami dzieci w szkole (rozmowy na te tematy wszyscy odbyliśmy już w czerwcu). komple-



tna sielanka, raj, prawdziwa arkadia! I jeśli jeszcze do tego wszystkiego nie zepsuł się nam samochód, to powrót do szarego Śremu, tzn. do szarej rzeczywistości może okazać się naprawdę trudny...

Trzeba więc współczuć wszystkim, którym urlop udał się pod każdym względem. Wczasy bez żadnych kłopotów mogą przyczynić się bowiem do nieudanego roku pracy. Jeśli więc ktoś z naszych znajomych chodzi z kwaśną miną, jest zgorzkniały, niezadowolony, kapryśny i złośliwy, jeśli nadto narzeka, że "Śrem to dziura, bo nie można tu nawet kupić owoców opuncji, czy chlebowca" – bądźmy pewni – miał bardzo udany urlop. Takiego człowieka trzeba się strzec, najlepiej omijać go z daleka. Jeśli jednak jest to nasz bliski znajomy, z którym spotykamy się bardzo często, należy natychmiast poradzić mu jeszcze jeden wyjazd w miejsce, o którym wiemy, że wczasy nie mogą się tam udać. Niech zatęskni do śremskich realiów, niech wraca tu z radością. To jest przecież jeden z podstawowych celów wszelkiego wypoczynku...

Andrzej TOMASZEWSKI

KONIEC WOJNY



Ostrów, poniedziałek 9 kwietnia 1945

Od czwartku jestem znowu w Ostrowie. Rodzice zdecydowali, że będę tu uczęszczała do Gimnazjum Kupieckiego. Zostałam przyjęta do czwartej klasy, gdyż zaliczono mi II-letnią Szkołę Handlową w Radomiu i Radomsku podczas wojny. W ten sposób zyskałam 2 lata, bo w Śremie przyjęto by mnie do 2 klasy gimnazjum, bo w 1939 roku uzyskałam do niej promocję. Ponieważ młodzież wskutek wojny straciła 6 lat nauki, więc władze oświatowe ustaliły przyspieszony tryb nauczania to znaczy 2 klasy w ciągu jednego roku. Tak więc rok szkolny mojej 4 klasy miał się skończyć w końcu czerwca, a 2 klasy Liceum Handlowego trwać od września 45 roku do czerwca 45 roku. Zajęcia szkolne odbywały się w godzinach popołudniowych od 16-20 a nawet do 21 wieczorem, gdyż całe bractwo zasadniczo po dwudziestce – pracowało na różnych stanowiskach. I tak Tadek Bloch i Marian Walczak uczyli w szkole powszechnej. Nasza prymuska Kryśka Nowakówna (późniejsza Pitakowa) pracowała w okresie wojennym w Deutsche Reichsbank, a po wyzwoleniu w Narodowym Banku Polskim. I tu ciekawostka: Niemcy przed zaangażowaniem Kryśki w Banku posłali jej pismo do grafologa, aby ocenił czy się do tej pracy nadaje. Kiedy się ci wszyscy pracujący przygotowywali na swe zajęcia szkolne – nie wiem. Nie było im lekko. Tylko dwie osoby – najmłodsze znajdowały się w lepszej sytuacji bo nie pracowały i miały przed południem możliwość uczenia się. To byłam ja, już 19-letnia i w tym też wieku Ulka Skrzypczyńska, mieszkająca obok mnie na Rynku. Uczyliśmy się więc razem w ogrodzie przy domu lub wieczorami w babci mieszkaniu, rozkładając „płachty” bilansu na stole. Kasia – gospośka podkładała nam wtedy pod nogi gazety, abyśmy nie pobrudziły woskowanego parkietu.

Pochłaniając nowe materiały w ogrodzie, co jakiś czas dla odprężenia, wdrapywałam się na stary orzech i tam śpiewałam różne arie. Przeważnie była to aria z „Halki” Moniuszki – „Szumią jodły na gór szczyt”. Nauka, możliwość zdobywania wiadomości była dla nas wielkim szczęściem.

Po paru dniach zaczęłam chodzić przed południem także do Szkoły Gospodarczej, mieszczącej się w tym samym budynku co nasze Gimnazjum, którą zawiadował też dyrektor Gniazdowski – bardzo przez nas poważany i lubiany. Zwolnił mnie od innych przedmiotów tak, że uczęszczałam tylko na zajęcia praktyczne. Mam więc 6 godzin tygodniowo gotowania, 6 godzin nauki szycia oraz 3 godziny porządków, ewentualnie ogrodnictwa. Gotować zasadniczo już umiałam, gdyż przez jakiś czas podczas wojny musiałam gotować obiad na 6 osób, w sobotę piec chleb na blachach

od placka no i przy tym przeszło 4 kilometry maszerować codziennie do szkoły handlowej w Radomiu. Jednak mimo mej wojennej praktyki dużo na tych zajęciach skorzystałam. Profesorka, która miała z nami te zajęcia, nazywała się też zgodnie z przedmiotem pani Kielbasa. Te bardzo przyjemne zajęcia dla mnie zaowocowały też dla naszej klasy, bo urządziłam przyjęcie na 50 osób – (uczniowie i grono nauczycielskie) po skończeniu 4 klasy, czyli po tzw. małej maturze i po dwóch klasach liceum handlowego, czyli po dużej maturze.

Stosunki po wojnie w takiej szkole jak moja były specyficzne. Uczniowie to już ludzie na stanowiskach, a wykładowcy częściowo nie wiele starsi od nich. Były także różnice światopoglądowe – jedni o zabarwieniu socjalistycznym – „na fali”, inni pravicowcy. W lasach ostrowskich działała grupa partyzancka „Błyskawica”, która nie ujawniła się nowym władzom. Krążyły pogłoski, że część naszych kolegów jest z tą grupą w kontakcie i uczestniczy w potyczkach. Nie mówiliśmy głośno o tym, ani nie dochodziliśmy ile w tym prawdy, bo to było niebezpieczne.

W tym czasie dostaliśmy na kwatere 5 żołnierzy lub oficerów polskich i rosyjskich. Jeden z nich opowiadał straszne rzeczy o Ukraińcach jak mordowali Polaków, o rżnięciu ich piłą, gwałceniu kobiet, a potem przybijaniu na drzwiach.

W Śremie u rodziców też zamieszkał oficer rosyjski z ordynansem. Naturalnie tak jak i my musiał spać na podłodze. Wyjeżdżał często na tzw. Ziemię Odzyskaną i stamtąd przywoził mamie kilka maleńkich cudnych talerzyków. Mama rzeczowo spytała: „Na pewno były do tego filiżanki?” „A były” – odpowiedział – „ale takie malutkie, jak pić z takich małych czaj, to je wszystkie potłukłem”.

Wojska rosyjskie wchodziły do Śremu od strony Dolska. Podobno telefonowali stamtąd do żołnierzy niemieckich w Śremie, że za dwadzieścia minut będziemy u Was.

Głos Wielkopolski podawał, że „armia amerykańska zbliża się do Hanoweru a inne jednostki pod Bremę. Armia francuska połączyła się pod Karlsruhe z oddziałami amerykańskimi. Nie mogę podawać jakie zajmują wojska alianckie, gdyż Niemcy tylko z meldunków angielskich orientują się w sytuacji na froncie”.

W mojej klasie w gimnazjum chłopców coraz mniej. Idą do wojska. W czwartek będą mieli z tego powodu egzamin końcowy. Przed południem stałam w ogonku za chlebem. Dostałam 2 bochenki. Wszędzie ogonki.

W Poznaniu na Ławicy mają być Amerykanie (Polacy z Ameryki). Bardzo jestem ciekawa jak wyglądają.

Ostrów, 11 kwietnia 1945

Znowu nastały ciepłe dni. Kasia z Piotrem sadzą kartofle w ogrodzie i robią tam porządki. Intensywnie się z Ulką ucze, bo tyle nam zadają. Z polskiego od Reja do ks. Konarskiego. Trudno wchodzić do głowy te nazwiska i dzieła przez nich napisane. Arie śpiewane na konarach starego orzecha też mało w nauce pomagają.

Basi ślub w przyszły wtorek. A ja nie mam dla niej prezentu. Podałabym jej połowę siodła do konnej jazdy (bo miałyśmy je na spółkę), ale dotąd go nie odnalazłyśmy. Może więc ten zielony materiał, który dostałam w Czarnocinie na przydział?

W sobotę ma być wręczenie świadectwa chłopcom, którzy idą do wojska. My dziewczęta planujemy im urządzić pożegnanie połączone z zabawą. Dyrektor nie chce się na zabawę zgodzić, twierdząc że to za smutne i tańczyć nie można. Słychać głosy, że my też pójdziemy do wojska. Na terenie dawnego Generalnego Gubernatorstwa już rejestrowano 20, 21, 22, 23 i 24 rocznik. Dzieli się na trzy kategorie: policjantki, sanitariuszki i żołnierki.

Namysłam się czy jechać jutro do Śremu do domu.

Śrem, poniedziałek 16 kwietnia 1945

Jutro rano o ósmej ślub Basi. Jednak, jednak. Bogdan w czwartek idzie do wojska. Basia też pewnie w najbliższym czasie, bo jej rocznik podlega mobilizacji. Od piątku jestem w domu i pomagam w przygotowaniach do ślubu.

Ostrów, niedziela 21 kwietnia 1945

We wtorek o ósmej rano odbył się ślub Basi z Bogdanem Firlejem. Było mimo wszystko bardzo miło i ładnie.

W poniedziałek wieczorem przyjechał niespodziewanie z Poznania dr Glabisz z żoną i synem. Musieli spać na dywanie w jadalnym pokoju. Hoteli teraz nie ma, więc zostali u nas, a mieli jakieś urzędowe sprawy do załatwienia w Śremie.

No, ale muszę powrócić do wesela. Wstaliśmy już przed 6 rano i zaraz zabraliśmy się do roboty. Na całą uroczystość wybraliśmy salonik tzw. radiowy pokój. Jest najmilszy, a przy tym wychodzi pośrednio na taras i ogród. W jadalni nie ma firanek, to za bardzo byśmy byli skrepowani ulicą. Dzień przedtem rozłożyłam już porcelanę, tak że tylko przystroiłam stół forsycją i fiołkami. Na środku stołu widniał tort z monogramami Basi i Bogdana, po bokach dwa wazon z goździkami. Tort upiekł mąż Maryli Sobczakówny, naszej towarzyszkę zabaw dziecięcych. Sklep kolonialny z piekarnią pana Sobczaka znajdował się vis-a-vis Kłasztorku.

Za oknem saloniku wabiła oko Warta z zakolem. Na rzecę widniał żagiel biały skapany w słońcu, ale powietrze było duszne i zapowiadało burzę, choć pogoda przecudna. Zielonujące pola i w dali las zachwycały barwnością i tchnęły spokojem.

Z Basi suknią do ślubu były kłopoty, bo o kupnie materiału na białą sukienkę nie było co marzyć. Znalazła się na

to rada. Mama zdobyła białą włóczkę i powstała śliczna dzierzgana kreacja.

Nareszcie przyjechały konie. Młodzi oraz Jurek, brat Bogdana z żoną pojechali karetą, a oboje Rodzice ze mną powózką. Chłopcy Jaś i Michaś poszli piechotą. Ja po powrocie z kościoła miałam powitać nowożeńców chlebem i solą.

Ludzi u fary było dużo, mimo że to dzień powszedni, bo liczni znajomi i koleżanki. Basia wyglądała prześlicznie. Biały strój ładnie się odcinał od jej śniadej cery i ciemnych włosów. I przyszła ta chwila, gdy przybliżyli się do stopni ołtarza i ślubowali sobie "miłość, wiara, uczciwość małżeńską i to, że Cię nie opuszczę aż do śmierci".

Biedny Ojciec się popłakał, nie mówiąc o Matce. Rozpłakałam się też kompletnie tak, że wszyscy zaczęli mnie pocieszać. Danka Ranusówna dowcipnie rzekła: "Co duczysz, przecież Ciebie to nieszczęście nie dotknęło".

Po powrocie do domu na weselnym śniadaniu byli: państwo Logowie z Marylą, pani Muslewska z córką Danką, oraz starsi państwo Firlejowie (Bruno i Marta) i syn Jurek z żoną Zosią, no i my w komplecie. Z Zosią Firlejewą wypięłam bruderszafta. Ma 19 lat i już jest matką ośmiomiesięcznej Kasi. Opowiadała swe przeżycia, gdy Kasia przyszła w piwnicy na uwiat, w czasie przechodzenia frontu i walk w miejscu jej zamieszkania. Potem błąkała się parę tygodni z tym małym dzieckiem. Dlatego dali jej imię Kasia, ponieważ przyszła na świat przy Katuszach.

Po zjawieniu się wszystkich gości zasiedliśmy do stołu. Znalazła się jednak szynka gotowana, pieczeń wołowa na zimno, jajka na twardo w Worchester Sauce (kupione w sklepie z zapasów niemieckich), chleb, bułki i masło. Na końcu ciasto, a więc tort, kruche ciastka, placek i do wyboru herbata lub kawa. Zaznaczam, że prawdziwa, bo całą wojnę piliśmy kawę zbożową, a herbatę z suszonych obierzyn jabłek, marchwi, lodyg malin, liści borówek i już nie pomnę z czego. Zdrowie młodej pary wypiliśmy winem. Nastrój był bardzo miły. Znajdowaliśmy się w starym żytym kółku. Basia była roześmiana i szczęśliwa. Przeszliśmy na taras i z ogrodu aż na promenadę i na Górkę Kłasztorną. Warta już opadła, przez co promenada była sucha i plaże nawet częściowo wystąpiły z wody.

Okolo 13-tej goście rozeszli się. Rodzina zaś i młodzież zostali na obiedzie. Okolo 15-tej trzy małżeństwa Firlejów wyjechały do Trzebisławek, gdzie miał się odbyć dalszy ciąg dla przyjaciół. Zrobiło się nagle cicho. Goście odeszli. Zostałam sama z rodzicami. Bracia 14-letni Jaś i 12-letni Michaś - Mucyk bawili się w ogrodzie. Stałam w saloniku i jak z oddali doleciał mnie głos mamy: Boniu; "Obrus złożysz do szafy a resztki ze stołu..." Życie znów pójdzie swoim trybem, pomyślałam zmęczona, tylko Warta, zawsze w zasięgu naszego wzroku, pozostanie wiernie, niezmiennie przy nas...

Bogna MIERZEJEWSKA-URAMOWA

PRZED PREMIERĄ
„PANA TADEUSZA”
SOPLICOWO
22.06.1999 R.



CICHOWO





Foto: Barbara JAHNS

KONTAKTY Z PARTNERSKIM ROŽNOVEM

W wywiadzie, jaki przeprowadziłam z burmistrzem Markiem Basajem (GŚ 7,8/99) zapytałam o ocenę kontaktów z partnerskim miastem Rožnov pod Radhostem. Podczas pobytu w Rožnovie (lipiec '99) o podobną wypowiedź poprosiłam zastępczynię Starosty Rožnova – Jarmilę Malenakovą, przedstawiciela lokalnej prasy – Ryszarda Sobotkę oraz przebywającą na wakacjach w Czechach Hannę Pieprzyk, członka Zarządu Miejskiego w Śremie.

Jarmila Malenkova – zastępczyni STAROSTY ROŽNOVA

Współpraca układa się dobrze. Wzajemne stosunku zacieśniają się, z czego jestem bardzo zadowolona. Szczególnie istotne jest to, że oprócz kontaktów oficjalnych delegacji z przedstawicielami władz miejskich dochodzi do kontaktów prywatnych i zawierania nieoficjalnych przyjaznych znajomości. Należy tutaj zauważyć również wymianę szkolną, która rozpoczęła się w bieżącym roku, w ramach której dzieci z Rožnova przyjechały do polskich rodzin, a dzieci polskie odwiedziły nasz region. Wszystkie dzieci biorące udział w wymianie, były bardzo zadowolone, do czego w dużym stopniu przyczyniła się bliskość zna-

czenia naszych języków, pozwalająca na prawie bezproblemowe porozumiewanie się. Wiem to zupełnie prywatnie, ponieważ w takiej wymianie uczestniczyła moja wnuczka. Drugim przykładem współpracy są wystawy fotografii Jakuba Sobotki z Rožnova w Muzeum Śremskim podczas Dni Śremu oraz zaplanowana na wrzesień wystawa fotografii Dariusza Żabińskiego u nas.

Ryszard Sobotka redaktor SPEKTRUM ROŽNOVSKA

Dla mnie najistotniejsze jest współdziałanie 2 naszych gazet: Gazety Śremskiej i Spektrum ROŽNOVSKA w wymianie informacji o historii, tradycji i współczesnych propozycjach turystycznych. Dokonujemy tłumaczeń z czeskiego na polski i z polskiego na czeski. Tak płynne funk-



cjonowanie przepływu informacji o naszych miastach jest fascynujące. Bardzo się cieszę z tej przyjacielskiej współpracy. Dziękuję konkretnym osobom, dzięki którym ta współpraca może funkcjonować.

Hanna Pieprzyk, członek Zarządu Rady Miejskiej w Śremie.

Współpraca między naszymi miastami jest dobrze rozwinięta. Kontakty są na tyle uściśnione, że należałoby je teraz rozszerzyć na młodzież, dzieci i indywidualne wyjazdy. Między innymi temu służy mój pobyt w Rożnowie. W Śremie jest wielu chętnych, którzy by te przepiękne okolice Rożnova odwiedzili. Uważam, że należy przygotować 2-3 konkretne propozycje, oferty dla naszych mieszkańców. Odległość nie jest duża i jestem przekonana, że znajdzie się wielu chętnych zarówno w okresie letnim jak i podczas ferii zimowych, by odwiedzić te cudowne okolice.

Mało wykorzystana jest współpraca dotycząca wymiany muzyków. Mamy w Śremie orkiestrę, która mogłaby zaprezentować się mieszkańcom Rożnova i turystom licznie odwiedzającym "Drewniane miasteczko" (skansen) podczas letnich wakacji. Z kolei kapele, które istnieją w Rożnowie i jego okolicy mogłyby zaprezentować się w Śremie.

Barbara Jahns

W wywiadzie udzielonym Gazecie Śremskiej (7,8/99) burmistrz Marek Basaj zachęcał śremskie firmy turystyczne, aby zainteresowały się niezwy-

kłymi walorami turystycznymi Rożnova. Istnieją w Rożnowie i okolicy doskonałe warunki wypoczynku letniego i zimowego. Czy rożnowskie biura podróży są zainteresowane przygotowaniem oferty dla mieszkańców naszego miasta oraz skorzystanie z oferty naszych biur prezentującej region Wielkopolski?

Jarmila Malenkowa

Nasze biura turystyczne do tej pory są zaopatrzone na Zachód, a ludzie tam chętnie kierują swoje zainteresowania turystyczno-podróżnicze. Widzą egzotyczną ofertę z Hiszpanii, Włoch czy nawet Niemiec, a nie interesują się najbliższym sąsiadem. Zapominają, że bliska geograficznie Polska ma też ciekawą ofertę. Powinniśmy chyba pamiętać, że jesteśmy Słowianami i że powinniśmy się dobrze znać.

Barbara Jahns

Za kilkadziesiąt dni wkraczamy w nowe tysiąclecie. Czego życzyć będzie Pani mieszkańcom swojego miasta a czego mieszkańcom Śremu.

Jarmila Malenkowa

Szczęścia, zdrowia, tolerancji i miłości. Aby ludzie się cieszyli, wzajemnie szanowali i tolerowali. Aby nie byli skąpi i zawistni.

Dziękuję w imieniu mieszkańców Śremu.

Barbara JAHNS

ZABYTKI W KRAJOBRAZIE

Podczas tegorocznych wakacji spędzonych z rodziną w Rożnowie miałam okazję osobiście przekonać się, że opisywane przez redakcyjnego kolegę Ryszarda Sobotkę (redaktor SPEKTRUM ROŻNOVSKA) w Gazecie Śremskiej uroki Rożnova i okolic nie są przesadzone. Ryszard Sobotka był naszym przewodnikiem na górskich szlakach czeskich BESKIDÓW. Dotarliśmy do niezwykłych miejsc, podziwialiśmy wspaniałe krajobrazy.

OCALIĆ OD ZAPOMNIENIA

Tak jak i w Polsce często w czeskim krajobrazie "wyrastają" krzyże, kapliczki, zdobiące drogi pięknej WOŁOSZCZYNY. Jest ich stosunkowo dużo. Zdarza się, że często widać na nich upływ czasu, wpływy atmosferyczne, czasami bezmyślny wandalizm. Są pięknymi w swoim rodzaju niepowtarzalnymi zabytkami. Wśród rozkwitłych pól, łąk, ścieżek, pięknie "wyrastają" w górskim krajobrazie. Gdzieś tam ceglany słup nakryty daszkiem, pod którym od paruset lat trwa w mrozach i upałach obnażony do pasa świętek, król w cierniowej koronie. W tle za kapliczką ucieka ku horyzontowi miedza, a szare niebo od ziemi oddziela ciemna smuga lasu.

Wiele w nich piękna i zadumy o przemijaniu. Takimi utrwalił je na swych fotografiach Ryszard Sobotka, którego szlaki wiodły do miejsc odwiedzanych przez ludzi bardzo rzadko. Piękno tych zabytków utrwalone na fotografii często staje się jedynym śladem ich istnienia.

Czy chodząc po górskich ścieżkach wpadłeś na pomysł dokumentowania małych "świętyń" jakimi są kapliczki i krzyże przydrożne?

— Uprawiając pieszą turystykę zauważyłem istnienie przydrożnych kapliczek i zorientowałem się, że mają one wielką wartość historyczną. Są one interesującymi obiektami mającymi swoją niepowtarzalną historię. Często bowiem były sta-

wiane przez indywidualne osoby na pamiątkę innego człowieka lub tragicznego wydarzenia czy wdzięczności. Są one miejscami refleksji i spotkań różnych ludzi, którzy się tam modlą, śpiewają, gromadzą, żeby po prostu być razem. Zarejestrowałem już 170 obiektów. Wartość ich polega na tym, że są obiektami o wartości historycznej i kulturowej, ale należą również do tego terenu, do tej ziemi.

Było by rzeczą szkodliwą zaniebierać je i dopuścić do ich zniszczenia. Słyszałem o tym, że w Śremie znajdują się ludzie zajmujący się rejestrowaniem zabytków przeszłości, wartościowi artyści, którzy są szanowanymi przez mieszkańców Śremu i doceniani przez instytucje miejskie w postaci organizowanych wystaw i stosownych wydawnictw.

- Tak to prawda. Wspaniałą dokumentację fotograficzną zebrał współpracujący z naszą gazetą Zbigniew Szmidt oraz Dariusz Zabiński.

Wiele zabytków wprost umiera na naszych oczach (wiatraki, leśne krzyże) nie wywołując u przeciętnego obserwatora odruchów protestu. Zachłystując się postępem i nowoczesnością często pozwalamy na moralną i techniczną śmierć wielu obiektów.

Poddane we właściwym czasie odpowiedniej "terapii" mogłyby żyć jeszcze wiele lat, przypominając kolejnym pokoleniom o ich historycznych i kulturowych



korzeniach. Dobrze, że choć fotografią chronimy je od zapomnienia.

Drugą twoją pasją jest dziennikarstwo.

- Tak, z różnymi pismami współpracuję od przeszło 30 lat. Obecnie ze Spektrum ROŽNOVSKA, ale również z czasopismami z całych Czech. Oprócz krótkich artykułów drukuję w nich opowiadania i inne formy literackie. W prasie lokalnej zamieszczam informacje i fotografie z interesujących wydarzeń.

Jesteś również poetą. Czy również wydawcą?

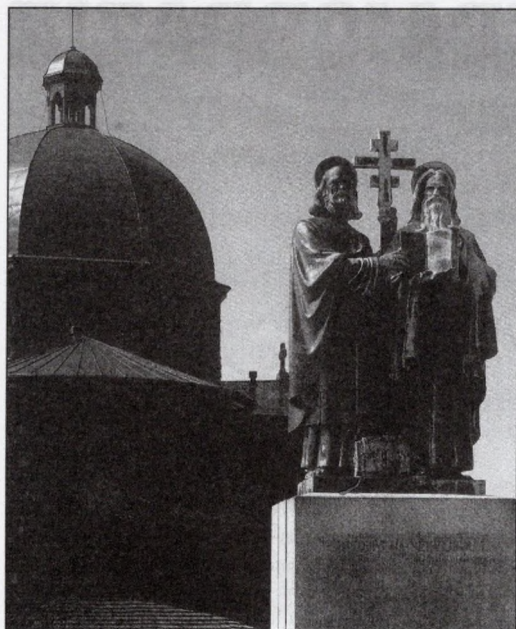
- W większości swoje małe tomiki finansuję sam, ale ponieważ tak jak w Polsce z pieniędzmi bywa różnie, praw-

dą jest, że miasto Rožnov pomaga mi. Miasto sfinansuje moją książkę poświęconą pamięci żony I. prezydenta Czech T.G. Masaryka - Charloty Masarykovéj.

Brało również finansowy udział w publikacji o rožnovskim grodzie. Korzystając z okazji chciałbym serdecznie pozdrowić wszystkich mieszkańców Śremu.

Dziękuję, życzę Ci wielu wspaniałych tekstów, weny twórczej. Jestem pod wrażeniem ogromu pracy jakiego się podjąłeś, dokumentując małe świątynie jakimi są kapliczki i krzyże. Życzę Ci, aby ukoronowaniem Twojej pracy była publikacja albumowa i wystawa.

Barbara JAHNS



Richard SOBOTKA

TO MOJE MIASTO

Pieszczone dłońmi zielonych gór
pachnie po prastarych jodłach
w szyndziolach i belkach
poczerniałych od czasu.

Roziskrzanie poranka
kapryśnie podkasuje sukienkę
kiedy na kwitnących łąkach
zbiera garściami perlistość rosy.

Przy blasku gwiazd
ukolysane biciem dzwonów
zanurza się we śnie jak w minionych wiekach.

Potem rano podczas rozbrasku
obudzone trelami skowronka
znowu rozpina skrzydła ku nowym dniom
Przekład: Wilhelm PRZECZEK

ORLA PERĆ

Wysokogórski szlak wytyczony śmiało i oryginalnie, przemierza jak gdyby orlim lotem szczyty wspinałego łańcucha bocznego Tatr Wysokich. Rozpoczyna się na przełęczy Zawrat i prowadzi między innymi przez Mały Kozi Wierch, Kozie Czuby, Kozi Wierch, Granaty, Orlą Basztę, trawersując Buczynowe Czuby dalej percią w poprzek trawiastych zboczy Ptaka i Kopy nad Krzyżnem na przełęcz Krzyżne. Zaliczyć do niego można również ścieżkę ze Świnicy na Zawrat, stanowiącą niejako początek Orlej Perci. Dawniej należało też do Orlej Perci przejście grzbietem Wołoszyna aż do Polany Pod Wołoszynem.

Szlak wspina się na zręby licznych turni, przerzuca się nad przepaściami, a dzięki pomocy klamer, lin drucianych i drabin żelaznych oraz gęstego wyznakowania znakami czerwonymi, pozwala turystyce pokonać bezpiecznie wiele trudnych miejsc, umożliwiając ciekawe i efektowne przejście szeregu szczytów. Widoki z każdego niemal punktu są piękne, trudności na ogół niezbyt wielkie, jednakże przejście wymaga niewrażliwości na przepaście i sporej wprawy we wspinaniu. Turystom początkującym należy tę wycieczkę odradzić. Projekt zbudowania tego szlaku rzucił w 1901 roku Franciszek Henryk Nowicki, poeta tatrzański, a budowę przeprowadził w latach 1903-1906 jeden z inicjatorów szlaku, ks. Walenty Gadowski, przy pomocy finansowej ze strony Towarzystwa Tatrzańskiego.

Janusz Chmielowski w *Przewodniku po Tatrach* wydanym we Lwowie w 1907 roku tak pisał: "Orlą Percią zwie się dziś powszechnie jedyny w swoim rodzaju, nader fantastyczny szlak grzbietowy. ...Wycieczka "Orlą Percią" jest niezmiernie interesująca i piękna, a przytem wysoce pouczająca, w ciągu nader krótkiego czasu bowiem poznajemy wszystkie szczyty i przełęcze, leżące w grani głównej między Zawratem a Krzyżnem i nabieramy dokładnego pojęcia o budowie całej tej grupy. Widoki roztaczające się z "Orlej Perci" są wspaniałe i bynajmniej nie jednostajne, lecz owszem zmieniające się wciąż, w miarę tego jak posuwamy się na przód".

Ze Skrajnego Granatu na południowy zachód i zachód obserwujemy panoramę górską od Koziego Wierchu przez Świnicę po Tatry Zachodnie kończąc na Osobitej. Z Krzyżnego natomiast patrząc na południowy wschód i południe widzimy panoramę Tatr Wysokich od Kołowego Szczytu przez Lodowy Szczyt, Staroleśną i Gerlach po Mięguszowieckie Szczyty Koprowy Wierch i Krywań.

Początkowo szlak wzbudzał ogromne zainteresowanie w tatrzańskich kołach turystycznych, został jednak bez zbytniego zapалу przyjęty, powątpiewano bowiem, czy omawiana część łańcucha Wysokich Tatr Polskich nadaje się do wytyczenia podobnego szlaku oraz kwestionowano jego wykonalność ze względu na znaczne, podówczas na 3000 koron obliczane koszty budowy. Przez jakiś czas toczyły się na ten temat ożywione, a niekiedy nawet namiętne, dyskusje i polemiki, a sama "Orla Perć" stała się przedmiotem licznych, wyczerpujących artykułów, opisów i monografii. Wreszcie, po należytym i dokładnym poznaniu i zbadaniu terenu, po pewnym zmodyfikowaniu pierwotnego planu, przystąpiono do budowy szlaku.

Ks. Walenty Gadowski – jeden z najwybitniejszych turystów i taterników końca XIX wieku. Urodził się w święto Matki Bożej Niepokalanej Poczęcia 8 grudnia 1861 r. w Nowym Wiśniczu. Wzrastał w atmosferze patriotycznej, tak żywej w domach zubożałej szlachty po klęsce powstania styczniowego. Podczas wieczornych gawęd, chłonał opowieści o ciekawych ludziach, nieznanych krajach, dziwach i wybrykach natury oraz dziełach pracy rąk ludzkich. Edukację rozpoczął w Uściu a ostatnią klasę kończył Gadowski w pierwszym Gimnazjum w Tarnowie w 1880 r. W tym też roku rozpoczął studia teologiczne, ale szybko zaczął niedomagać na zdrowiu i lekarze zalecili mu kurację w Zakopanem.

Pierwszy raz przyjechał do Zakopanego w 1881 r. Świecenia kapłańskie otrzymał 15 lipca 1884 r. a pierwszą jego placówką duszpasterską było Pilzno. W roku 1887 został prefektem Seminarium Duchownego w Tarnowie, gdzie wykładał katechetykę dla kleryków. Rok

później awansował na wicedyrektora. Uczyl ponadto w tarnowskim gimnazjum i Seminarium Nauczycielskim. Międzynarodowe zjazdy katechetyczne i sympozja dawały ks. Gadowskiemu okazję do poznania krajów europejskich. Zwiedził najpierw Alpy Bawarskie i Tyrolskie potem Austrię Górna, Alpy Styryjskie, Czech i Morawy. W Alpach nauczył się chodzić z rakami, czekaniem i liną. Od tego czasu wędrował po górach samotnie. Kiedy jednak pewnego razu, schodząc z Łodowego Szczytu do Pięciu Stawów Spiskich, natknął się na kilku turystów stojących nad zamrzniętym ciałem ofiary górskiej tragedii, która nie miała na



sobie żadnych obrażeń i w śniegu przeleżała siedem lat, uświadomił sobie niebezpieczeństwo odbywania samotnych wycieczek. Odtąd zabierał jakiegoś towarzysza, choć niekoniecznie przewodnika. Szukał w górach pięknych widoków, uważając, że gór nie można przeżywać tylko w sensie sportowym. Szczególnie lubił grzbiet górski od Świnicy do Wołoszyna, jedyny mający charakter wybitnie wysokogórski i leżący wyłącznie w Polsce. W bukowińskiej willi "Primula", w której mieszkał, dojrzał pomysł uprzystępnienia miłośnikom Tatr tego fragmentu i wybudowania tam podniebnej ścieżki. Projekt poparł prezes sekcji turystycznej Towarzystwa Tatrzańskiego, Janusz Chmielowski, ale uznano pomysł za szalony, niewykonalny i zbyt kosztowny. Niektórzy nawet ironizowali twierdząc, że przecież "orły perciami nie chodzą", a więc nazwać szlak kozią percią, na co Gadowski odpowiadał: orły perci nie robią, ale gdzież właściwsze dla nich miejsce wytchnienia, jak nie na szczytach i graniach skał niebotycznych.

Gadowski nie czekając na subwencję Towarzystwa, w dniu 16 lipca 1903 r. rozpoczął trasowanie i znakowanie Orlej Perci. Przy pomocy juhasów, z Polany pod Wołoszynem podjął pierwsze prace. Wystarczyło zlokalizować ścieżkę, miejscami wykucć chwyty w skałę, gdzie-

niegdzie ułożyć stopnie i dać farbę. Już na początku drogi, pod osłoną nocy, juhasi opuścili robotę i ks. Gadowskiego jedynie z najodważniejszym z nich, Józkiem Budzem, dotarli do Krzyżnego. Ze względu na załamanie pogody i brak gotówki, przerwał pracę na dwa tygodnie. 2 sierpnia do willi

"Primula" przybyli delegaci Towarzystwa Tatrzańskiego – Stanisław Barabasz, Janusz Chmielowski i Franciszek Nowicki. Można przypuszczać, że Gadowski otrzymał jakąś subwencję na dalsze roboty, bo już 10 sierpnia przy pomocy górali z Jurgowa rozpoczął trasowanie dalszego odcinka. Zamierzał przejść Buczy-

nową Przełęcz, ale górale odmówili, wobec tego postanowił trasować zejście z Małej Buczynowej Turni do Buczynowego Żlebu.

Trudności zaczęły się w dniu następnym, w kominie wodącym na szczyt Orlej Baszty i na trawersie pod Orlimi Turniczkami.

"Chciałem iść dalej ku Granatom, ale zimny i mroczny żleb wiał taka grozą, a kamienie usuwały się spod nóg tak często, że górale stawili opór i oświadczyli, że dalej stanowczo nie pójdą".



Nawet najodważniejszy z nich, wspomniany już Józek Budz powiedział, że dalej nie pójdzie, bo mąci mu się w głowie, a ma przecież żonę i dzieci. W tej sytuacji Gadowski

zaangażował kamieniarza, a jednocześnie znanego przewodnika zakopiańskiego Jakuba Wawrytkę, by zbadać dokładnie zejście z Orlej baszty na Granacką Przełęcz. W dniach 19 i 20 sierpnia 1903 r. wytyczył dalszą część szlaku od Granackiej Przełęczy po Kozi Wierch.

Pozostała jeszcze najtrudniejsza część Orlej Perci od Koziego Wierchu po Zawrat. Zakupił zatem w wiedeńskim Alpen – Club – Verein liny druciane, a haki, klamry, poręcze i drabiny w Tarnowie. Koszt ubezpieczeń tego odcinka szacował Gadowski na 1000 koron. Towarzystwo Tatrzańskie przyznało mu połowę tej kwoty.

Był tak niezadowolony, że myślał nawet o obejściu przez Pustą Dolinkę i Mały Kozi Wierch, by uniknąć kosztownych ubezpieczeń. Licząc, że czas przyniesie jakieś wyjście, zajął się uzupełnianiem szlaku spod Zadniego Granatu po Żleb Kulczyckiego. Odcinek przez Przelęczkę nad Dolinką Buczynową do Koziego Wierchu biegł szlakiem wyznakowanym przez Towarzystwo Tatrzańskie jeszcze w latach 1897 – 1898. Odcinek od Koziego Wierchu do Zawratu jest chyba najładniejszym fragmentem Orlej Perci – niezwykle eksponowanym i niełatwym. Już panorama z Koziego Wierchu (2291 m) pokazująca ogrom gór, zarówno po polskiej i słowackiej stronie, jest przepiękna. Z Koziego Wierchu schodzi się do Koziej Przełęczy Wyżniej, a stąd stromą, przepaściastą rynną wspina się na wierzchołek Kozich Czub (2266 m), skąd otwiera się znów pyszny widok, zwłaszcza w kierunku zachodnim. Początkowo Orla Percć opadała wprost na Kosią Przelęcz (2137 m) po urwisku Kozich Czub długą, dwuodcinkową drabinką. Było to najbardziej powietrzne przejście w polskich Tatrach. Ze Szczerby Koziej Przełęczy wyprowadza urwiskiem ośmiometrowa drabinka na północne stoki Zamarłej Turni (2179 m). Trochę dalej Zmarzła Przelęcz (2126 m), której strzeże skalny “chłopek”. Zmarzłymi Czubami przez szczelinę Zmarzłej Przelęczki Wyżniej szlak wydostaje się na Mały Kozi Wierch (2226 m), a następnie przez dwa skaliste garby schodzi do Zawratu.

Budowę Orlej Perci doprowadził Gadowski do końca w 1906 r. Tuż przed zakończeniem prac odezwali się znowu przeciwnicy, zarzucając księdzu zbyt wysokie koszty budowy. Krytyka spowodowała, że rzekł się kolejnej raty 500 koron, a resztę materiału pozostawił jako dar dla Towarzystwa Tatrzańkiego. Zawiadomił także Towarzystwo, że występuje z jego szeregów. Działacze musieli jednak poczynić jakieś kroki pojednawcze, gdyż

Gadowski obiecał dokończyć budowę i słowa dotrzymał.

Wśród górali, którzy nie zrobili nic bezinteresownie dla gór rozeszła się pogłoska, która potem przeszła do legend tatrzańskich, że ksiądz kanonik znalazł “janosikowe skarby” i w zamian za to, “COŚ” kazało mu budować Percć pod rygorem, że “inaczej to mu leć urwie”.

Ja to zwykle bywa i Orla Percć stała się wkrótce przedmiotem krytyki. Patrząc dzi-

siaj na dzieło ks. Gadowskiego, warto zapoznać się z opinią Józefa Nyki, autora współczesnego przewodnika tatrzańkiego, którego pierwsze wydanie ukazało się w sto lat po “Ilustrowanym przewodniku do Tatr, Piennin i Szczawnicy (1870) Walerego Eliasza:

Słynny szlak graniowy wśród przepysznej i ciągle zmieniającej się scenerii skalnej – droga dla turystów o aspiracjach taternickich. Budował ją – głównie z własnych środków – ks. W. Gadowski w latach 1903 – 06. Szlaki łącznikowe umożliwiają przebywanie krótszych od-

cinków. Wymagana pewność ruchów i niewrażliwość na przepaście. Trudności znaczne i w dużym nagromadzeniu, zwłaszcza na odcinku wschodnim. Długość szlaku 5 km – w obie strony po około 6.45 godz. Znaki czerwone.

Feliks KRÓLIKOWSKI

Literatura:

- Stanisław Kobiela: *Narodziny Orlej Perci*, Pamiętnik Towarzystwa Tatrzańkiego, t. 4; Kraków 1995.
Janusz Chmielowski: *Przewodnik po Tatrach*, Lwów 1907.
Tadeusz Zwoliński: *Tatry, Sport i Turystyka*, Warszawa 1966.
Józef Nyka: *Tatry*, wyd. II, Trawers, Warszawa 1994.
Zofia i Witold H. Paryscy: *Wielka Encyklopedia Tatrzańska*, Wydawnictwo Górskie, Poronin 1995.
Witold H. Paryski: *Tatry Wysokie*, t.1, 2 i 3, Sklep Podróżnika, Warszawa 1992.



ŚREMSCY ŻEGLARZE NA ADRIATYKU

Tysiąc sto km drogi ze Śremu do Chorwacji, przez Brno, Wiedeń i Ljubljane, pokonujemy samochodem w ciągu 20 godzin. W Crisniewie, małej przystani położonej u przyczółka potężnego betonowego mostu, prowadzącego na największą chorwacką wyspę KRK, czeka na nas zacumowany przy nabrzeżu 7-mio metrowy jacht naszego przyjaciela, „AMBA 2”.

Brzegowa część wschodniego Adriatyku, należąca do Chorwacji, obejmuje łącznie 718 wysp i wysepek, z których tylko 66 jest zamieszkałych.

Liczne porty, przystanie i bogato wyposażone mariny, rozłożone w tym malowniczym akwenie, a także dobre oznakowanie nawigacyjne, pozwalają średnio doświadczonym żeglarzom na przeprowadzenie niezapomnianych rejsów od wyspy do wyspy i bardziej doświadczonym na wypad do Włoch np. do Wenecji.

Wbrew obiegowym opiniom akwen ten nie jest bezpieczny dla żeglarzy. Częste załamania pogody potrafią w ciągu niewielu minut zamienić pogodną taflę morza w niebezpieczną kipliel. Ze wszystkich wiejących tu wiatrów, takich jak bora, sirocco, neverin, mistral, burin czy tromba, najbardziej gwałtownym może okazać się bora, wiatr z kierunku NE, niebezpieczny tak w porcie jak i na morzu ze względu na zbyt mało miejsca do sztormowania.

W kapitanacie portu w Kraljewicy załatwiamy niezbędne formalności: przedstawiamy notarialny dokument użyczenia jachtu w j. chorwackim, potwierdzony przez konsula w Warszawie, tzw. „prijavę”, t.j. czasowe zezwolenie na pływania

nie po chorwackim Adriatyku, patenty żeglarskie oraz paszporty by wyrobić sobie „crew list” czyli listę załogi umożliwiającej nam cumowanie jachtu w portach i marinach.

Następnego dnia rano zdejmujemy cumy, podnosimy kotwicę i na silniku podpływamy pod przęsło mostu, pod którym mogłaby się zmieścić z dużym zapasem śremska wieża wodociągowa. Dopiero podnosimy grota i genuę. Na żaglach opływamy północny brzeg wyspy KRK by po 26 Mm żegluga przybić do portu KRK. Rzucamy kotwicę od rufy i przybijamy do miejskiej keji.

Robimy obiadokolację, kupujemy paliwo, zwiedzamy miasto i zjadamy wspańskie chorwackie lody.

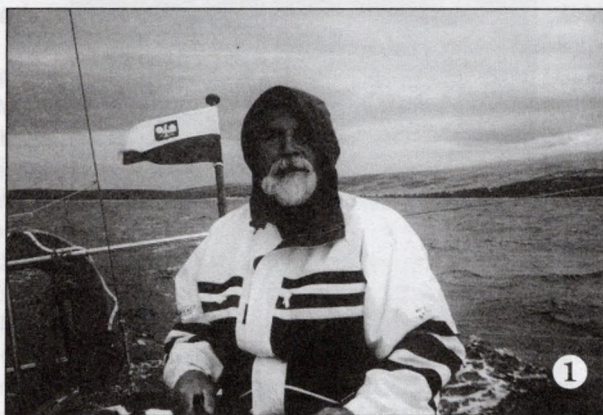
Po niespokojnej, ze względu na ciągły warkot rybactkich statków, nocy, wczesnym rankiem odbijamy od nadbrzeża i kierujemy się do Rabu na wyspę Rab, która uchodzi za najbardziej nasłonecznione miejsce w Europie. Wiatr o początkowej sile 1°B ze wschodu szybko tężeje, przy 4°B stawiamy fokę

sztormowego i refujemy grota. Wysoka boczna fala utrudnia żegluga. Wiatr wzrasta do 6°B.

Jacht wznosi się wysoko w górę i opada w dół. To już nie jest wesołe. Mam jednak zaufanie do jachtu, na którym płynę po raz trzeci. Na szczęście ta gwałtowna chwiejba ustaje, kiedy od wiatru zaczyna nas osłaniać wyspa Rab.

Zwiedzamy wieżę katedry, by podziwiać przy zachodzącym słońcu wspaniały widok na góry, wysoki klifowy brzeg, zatokę i piękną marinę.

Następnego dnia odpływamy w kierunku Zadaru, który jest naszym tegorocznym celem.



Po drodze zawijamy do Simuni, dobrze ukrytej przed wiatrami, bezpiecznej przystani. Nazajutrz rano pada deszcz i wieje dość silny wiatr, który to słabnie to tężeje. O jedenastej oboje z Andrzejem drzemiemy jeszcze w kojach. O 11.30 deszcz ustaje. Decydujemy się płynąć do Zadaru. Po drodze mamy wiatr o sile 3°B i krótkotrwałą ulewę. Pod wieczór już w pełnym słońcu przybijamy do śródmiejskiej marin w Zadarze. Zostajemy tu jeszcze przez niedzielę, by zwiedzić miasto z zabytkami klasy zerowej: bizantyjski kościół św. Donata z IX w., romańska katedra św. Anastazji z XIII w., kościół św. Szymona z jego sarkofagiem, fortyfikacje weneckie z XVI w. oraz muzea. Wchodzimy także na starą wieżę kościoła, by razem z dzwonnikiem ciągnąć za dzwony w rytmie dźwięków "Chorwacja trwa".

W poniedziałek cumujemy za falochronem na wyspie Olib. Pod wieczór przychodzi z północy bora o sile 8°B, która słabnąc powoli trwa jeszcze przez całą dobę. Chorwacki jacht stojący na kotwicy w zatoce zostaje zepchnięty na mieliżnę. Jego załoga ewakuuje się na brzeg.

W środę pierwsi wypływamy w kierunku Mali Losinj, wyspy i portu otwartego na pełny Adriatyk. Na wietrze o sile wzrastającej do 5°B osiągamy szybkość 6 węzłów by po 6 godzinach przybić do marin. Miasto, piękna zatoka i port urzeka nas swoim położeniem i architekturą. Następnego dnia o 8-mej wypływamy z zatoki na żaglach. Po godzinie wiatr tężeje, by po dalszych 30 min zamienić się w borę o sile 6°B. Włączamy silnik i na sztormowym fok u płyniemy pod fale i wiatr lekko krzyżując. O 13-tej wiatr słabnie. Decydujemy się płynąć do Cresu, który osiągamy późnym popołudniem. Po godzinie przybija do pomostu duży jacht z austriacką załogą znaną nam z Olibu, która pozdrawia nas z wyraźną sympatią i lekkim zdziwieniem.

W piątek już o 9-tej na zrefowanym grocie i sztormowym fok u osiągamy szybkość na logu 6-7 węzłów płynąc wzdłuż



wyspy Cres w kierunku Zatoki Rijeckiej. Przez kilka minut towarzyszą nam 3 delfiny. Po południu cumujemy w marinie Opatija-Icici. Zostajemy tu do niedzieli.

Opatija to znany ekskluzywny, przedwojenny kurort ze wspaniałymi hotelami, pensjonatami, willami i kąpieliskami rozłożonymi na stokach gór wzdłuż wielokilometrowej nadmorskiej promenady im. Franza Jozefa - cesarza Austro-Węgier. W sobotę oglądaliśmy to wszystko i kupujemy upominki dla najbliższych.

W niedzielę rano płyniemy już w kierunku mostu na KRK, by w południe zamknąć pętlę naszego rejsu w Crisnjev. Sympatyczny bosman Tomislav, u którego zostawiliśmy samochód, wita nas serdecznie i zaprasza na kieliszek rakiji.

We wtorek jacht ma ode-

brać od nas ekipa z Krakowa.

Przeplłynęliśmy w całości 250 mil morskich oraz zawińnęliśmy do 9 portów i przystani. Złożony cel został osiągnięty.

Podróż powrotna samochodem do Śremu zajęła nam już tylko 17 godzin.

Śrem, w czerwcu 1999 r.

Uczestnikami rejsu byli:

Daniel Kujawski i Andrzej Szczepaniak

Daniel KUJAWSKI

Foto:

1. Autor artykułu przy sterze jachtu w drodze do Zadaru
2. Andrzej Szczepaniak przy pracy na jachcie
3. Przejazd pod największym betonowym mostem łukowym na świecie
4. D. Kujawski i A. Szczepaniak z bosmanem przystani w Crisnjev - Tomysławem



PAMIĘTNIK Z PODRÓŻY DO POLSKI

O swoich wrażeniach z pobytu w Polsce pisze zaprzyjaźnione z Gazetą Śremską małżeństwo Włochów (pisaliśmy o nich w grudniowym nr GŚ)

Włochy-Polska, to podróż bogata w nowe przeżycia, wśród białych wydym polskiej Sahary i niepokojących symbolów dawnej i mniej dawnej przeszłości: Borne Sulinowo, Sztutowo i Gierłoż.

Po raz drugi spędziliśmy nasze letnie wakacje w Polsce. W 1997 roku Zakopane i Tatry, Kraków, Lublin, Zamość, Częstochowa i Katowice, to główne miejscowości zwiedzane podczas naszej samochodowej podróży.

W 1998 roku, natomiast, przekroczyliśmy granicę polsko-niemiecką we Frankfurcie nad Odrą, pojechaliśmy na północ aż do Ustki, u wybrzeży Morza Bałtyckiego, zatrzymaliśmy się w Łebie, zwiedziliśmy Słowiański Park Narodowy, doznaliśmy ogromnego wrażenia z powodu imponujących nadmorskich wydym, białych i wysokich, między lasem i plażą. To był właśnie pierwszy odcinek naszej podróży.

Później, wzdłuż wybrzeża, zwiedziliśmy Gdynię, wąską Mierzęję Helską, Gdańsk, Stegłę, Sztutowo, Mierzęję Wiślana. Sztutowo, to straszne

ostrzeżenie dla wszystkich, bo był to pierwszy obóz koncentracyjny i zagłady, urządzony przez nazistów w 1939 roku i jako ostatni wyzwolony w 1945 roku.

Stąd nasza podróż trwała dalej, aż do imponującego zamku malborskiego, który bardzo nas zaciekał, bo tak nasycony polską historią. Potem, przed nami inne tragiczne ostrzeżenie, prze-

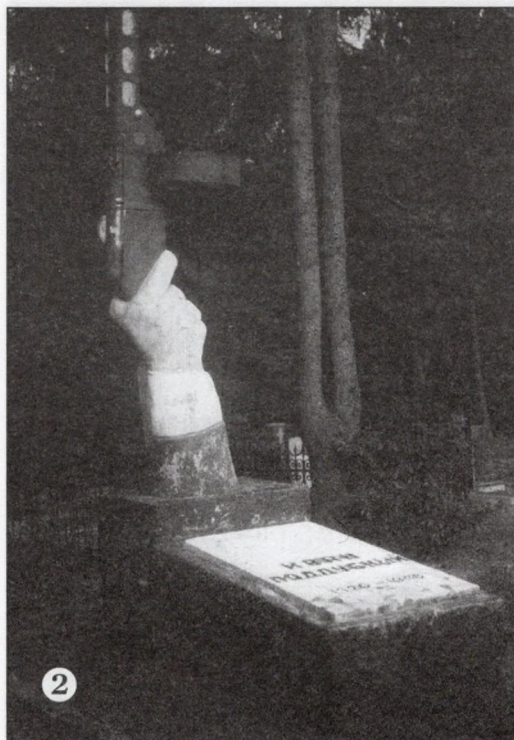
kazane nam przez niedawną historię, to znaczy Gierłoż, resztki miasta budowanego w środku lasu, podczas drugiej wojny



światowej, ruiny byłej wojennej kwatery Hitlera, zwanej Wilczym Szańcem. A następnie jechaliśmy wśród niezliczonych jezior i niezmiernego lasu mazurskiego, aż do Olsztyna, Augustowa, Białegostoku. Potem, bardzo szybko skierowaliśmy się ku południowi, tylko krótki odpoczynek w Częstochowie, aby zwiedzić Jasnogórskie Sanktuarium i pomodlić się przed świętym Obrazem Matki Boskiej. Przyjechaliśmy wreszcie do Katowic, gdzie zostaliśmy gośćmi naszego miłego przyjaciela z Polski, Henryka Bzdoka, wybitnego malarza i grafika. To

prawdziwy artysta, dziedzic tradycji polskiego malarstwa. On jest właścicielem starej (pochodzi z XVIII wieku!), ale bardzo przyjemnej chaty góralskiej w Beskidach, niedaleko od Milówki. Miasteczko to i cała okolica bardzo nam się podobały i mogliśmy naprawdę trochę odpoczywać wśród przyrody, po tak długiej i pełnej wrażeń podróży. Rzeczywiście, właśnie tam skończyliśmy naszą drugą podróż po Polsce, bo stąd zaczęliśmy drogę powrotną do Włoch, do Padwy, gdzie mieszkamy. W sumie, przejechaliśmy ponad 4000 kilometrów.

Ta druga podróż też, jak pierwsza, była wspaniała, bogata we wrażenia i spotkania z bardzo miłymi ludźmi, w doświadczenia polskiego życia i polskiej przyrody. Pamiętamy, między innymi, jak byli mili wobec nas kierownicy campingu numer 180 w Stegnie, blisko Mierzei Wiślanej, z którymi mogliśmy się porozumiewać po francusku. Po powrocie do domu, chcieliśmy podzielić się naszymi wspomnieniami i wrażeniami z podróży po Polsce 1998 roku, utrwalonymi na setkach przeźroczy, z naszymi kochanymi przyjaciółmi, to znaczy z włoskim małżeństwem De Sandre, którzy też są zakoniani w Polsce. Również po pierwszej naszej podróży po Polsce, tej z 1997 roku, wyświetliliśmy u nich nasze przeźroczka i otrzymaliśmy – jako nagrodę! – polską kolację, urządzonej przez panią domu.



Tym razem też dostaliśmy pyszną kolację po polsku, po raz pierwszy skosztowaliśmy polskiego bigosu! Giuliana De Sandre to wielka przyjaciółka Polski, wie dużo o Polsce i ma wielu przyjaciół i znajomych w różnych polskich miastach. Przebywała wiele razy w ich domach, ucząc się w ten sposób różnych polskich tradycji,

także kulinarnych. Nawet uczyła się języka polskiego! Mieszkanie tego małżeństwa jest punktem spotkania i pomocy dla Polaków przybywających do Padwy.

Padwa to bardzo stare miasto, jej Uniwersytet, założony w 1222 roku, jest jednym z pierwszych uniwersytetów świata. Tu studiował Mikołaj Kopernik, który należał do "Natio Polonica", jak wtedy byli tu nazwani w ogó-



le studenci z Polski. I tak wiele jest stosunków i powinowactw między Padwą i Polską, a szczególnie z Krakowem i Zamościem. Zamość właśnie został założony w 1580 roku, na wzór Padwy, przez Jana Zamojskiego, który był absolwentem Uniwersytetu w Padwie, natomiast autorem rozplanowania zabudowy i fortyfikacji był włoski architekt Bernardo Morando. Więc pałace i arkady Zamościa są podobne do tych, które znajdują się w starym centrum Padwy.

Chcemy dołączyć do tego pamiętnika parę przeźroczy, tych, które, według nas są najbardziej znaczące. Rzeczywiście chodzi tu o miejsca, które zrobiły na nas największe wrażenie podczas naszej podróży, a może są mało znane również Polakom.

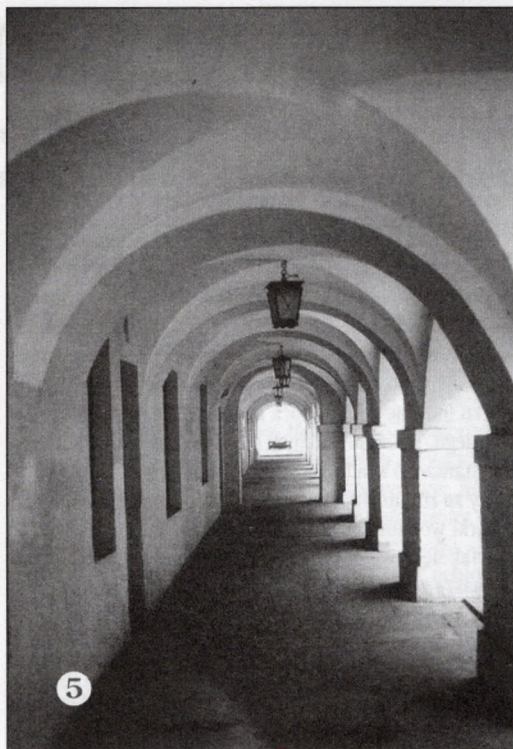
Pierwsza niespodzianka spotkała nas na drodze między Wałchem i Szczecinkiem, blisko Bornego Sulinowa. Miejscowość ta jest bardzo mała i odosobniona, w bardzo zielonym rejonie, bogatym

w jeziora. Przypadkowo tam przyjechaliśmy, bo zostaliśmy zmuszeni przez Policję zrobić pewien objazd, z powodu blokady drogowej spowodowanej przez strajkujących chłopów, w sierpniu 1998 roku. Znaleźliśmy się w martwym mieście, opustoszałym i wyludnionym, domy nie miały ani drzwi ani okien, tylko mury zostały. Na murze pewnego budynku, może fabryki, znaleźliśmy rosyjskie napisy, więc zrozumieliśmy: chodziło to o tajemne miasto, zamieszkane przez radzieckich żołnierzy aż do 1989 roku, potem systematycznie ograbiane. Teraz zaczęto odbudowywać i remontować całe miasteczko. Ale to, co zrobiło na nas największe wrażenie, to opustoszały cmentarz, pośród brzoźowego lasu, opuszczony przez radzieckich mieszkańców, którzy tu przebywali od pięćdziesięciu lat. Oto na zdjęciu, grób pewnego żołnierza, naprawdę niepokojący i straszny, bo na tym grobie sterczy ku niebu, trzymany w wielkiej ręce, ogromny karabin maszynowy. To tragiczny symbol dłu-



giego i smutnego okresu niewoli Polski. A po zwiedzeniu Łeby, wybrzeży Bałtyku, Gdańska i Malborka, przyjechaliśmy do innego strasznego symbolu światowej historii, to właśnie Gierłoż, blisko Kętrzyna, gdzie Hitler, w środku lasu, zbudował podziemne miasto, Wilczy Szaniec (Wolfschanze), w którym mieszkało tysiąc ludzi, i Hitler też tu mieszkał w towarzystwie najwyższych nazistowskich dostojników, spędził tu 766 dni podczas drugiej wojny światowej. Tu, 20-ego lipca 1944 dokonano na niego zamachu. Dzisiaj wśród ruin ponad 70 różnych obiektów z żelazobetonu i cegły, bunkrów ciężkich o grubości stropów do 10 metrów, krąży tłum ludzi, którzy nie chcą zapomnieć strasznego nieszcześcia spowodowanego przez nazizm.

A również w Sztutowie, 19 kilometrów od Nowego Dworu Gdańskiego, blisko przyjemnych i bardzo uczęszczanych plaż Mierzei Wiślanej, widzieliśmy coś strasznego: resztki dawnego obozu koncentracyjnego "Stutthof", obecnie Muzeum Stutthof, zbudowanego w 1939 i wyzwolonego w 1945 roku. To też Polska: miejsca, których nie można zapominać! Ale nasza podróż trwała dalej wśród przyrody, wśród przepięknego krajobrazu Pojezierza Mazurskiego, wśród brzozowych lasów



i bocianich gniazd. Właśnie z tymi widokami w oczach wróciliśmy do Włoch przez Cieszyn, już planując trzecią podróż do Polski, bo dużo jeszcze pozostało nam do zwiedzania! Do widzenia, do następnej podróży!

Giovani TREVISAN

Przetłumaczyła Giuliana De Sandre

Padwa, maj 1999 roku

Foto:

1. Wydmy w Słowińskim Parku Narodowym
2. Sulino spadek po ZSRR
3. Wilczy Szaniec – miejsce zamachu na Hitlera
4. Gierłoż – Wilczy Szaniec
5. Zamość – Arkady
6. Henryk Bzdok – artysta malarz



O POWSTAŃCZEJ BANDERZE I KONFEDERACKICH KLIPRACH

Powstanie z lat 1863-64 weszło do świadomości narodowej jako zryw tyleż tragiczny co beznadziejny i tragizm właśnie dominuje w postrzeganiu insurekcji styczniowej. A przecież w trakcie walki z najpotężniejszym polskim zaborcą, Rosją, działy się rzeczy niezwykle, bezprecedensowe, mające posmak awanturnictwa i wielkiej przygody, krótko mówiąc godne pióra Dumasa ojca, Jackesa czy Sabatiniego. Takim nieznanym szerzej epizodem są starania powstańczego Rządu Narodowego o utworzenie we współpracy ze zbuntowanymi stanami niewolniczymi USA, marynarki wojennej.

Tak się bowiem, dość nieszczęśliwie złożyło, że powstanie nasze wybuchło w momencie, w którym wojna domowa za Atlantykiem, nazwana przez potomnych wojną secesyjną, wchodziła w swoją decydującą fazę, absorbując uwagę mocarstw europejskich. Od swojego początku powstanie styczniowe w dziwny sposób splatało się z wydarzeniami owej "wojny stali z bawełną", jeśli nie w sposób bezpośredni, to na płaszczyźnie politycznej. Rząd Narodowy, a wcześniej Komitet Centralny Narodowy z uwagą śledził poczynania rządu Południa, zamierzając doświadczenia polityczne i wojskowe secesjonistów wykorzystać dla realizacji własnych, narodowych planów na arenie międzynarodowej.

Trzeba bowiem pamiętać, że pozycja zbuntowanych stanów południowych, w świetle ówczesnego prawa międzynarodowego, była bardzo zbliżona do sytuacji, w jakiej przyszło działać Rządowi Narodowemu i całemu tzw. "polskiemu państwu podziemnemu". Dlatego też głównym staraniem CSA (Skonfederowanych Stanów Ameryki) pod kierunkiem Jeffersona Davisa, było uznanie przez Francję i Wlk. Brytanię jego rządu za stronę wojującą, co dawałoby podstawę mocarstwom, jeżeli nie do interwencji zbrojnej, to przynajmniej do pomocy wojskowej i udostępnienia portów tych państw tak w Europie jak i w koloniach, flocie Konfederacji. Ta ostatnia bowiem, w celu zwalczania floty Północy i przełamania blokady swoich portów (od sierpnia 1861 r. rząd Abrahama Lincolna realizował plan "Anakonda", polegający na zablokowaniu przez 450 krążowników, głównych, zamorskich, szlaków komunikacyjnych Południa) rozwinięła szeroko zakrojone działania kaperskie. W ciągu całej wojny intensywnie rozwijana flota secesjonistów, zagarnęła łup wartości blisko 20 mln ówczesnych

dolarów, co równało się 10% wydatków wojennych Północy w latach 1860-1865! Sytuację CSA ułatwiał fakt, że w kwietniu 1861 r. Wlk. Brytania i Francja ogłosiły "deklarację neutralności", tym samym milcząco przyzwalając na korzystanie ze swoich stoczni i portów okrętami południowców.

Skuteczność i doświadczenie kaprów Konfederacji, wyposażenie ich floty, a także koncesje i ułatwienia jakie posiadali w stoczniach francuskich i angielskich, zwróciły uwagę Władysława ks. Czartoryskiego (syna niedoszłego króla polskiego Adama Jerzego) pełnomocnika Rządu Narodowego na Anglię, Szwecję, Francję i Turcję. Książę zdawał sobie sprawę z tego, jakim atutem dla sprawy polskiej i jej umiędzynarodowienia, byłoby posiadanie kilku okrętów bijących się pod polską, narodową banderą. Jego działania nabrały tempa w drugiej połowie 1863 r., po rozmowie z Johnem Russelem, ministrem spraw zagranicznych Jej Królewskiej Mości. Lord - minister stwierdził bowiem, że "tylko zawinięcie do któregoś z portów angielskich okrętów pod polską banderą, będzie stanowiło podstawę do uznania powstańców za stronę wojującą przez rząd angielski". Nie trzeba chyba tłumaczyć, że takie słowa, to był miód na serce księcia Władysława, który przecież od początku działalności dążył, w drodze uzyskania uznania przez rządy mocarstw zachodnich, Rządu Narodowego za legalny rząd państwa polskiego, do przekształcenia wewnętrznego konfliktu Rosji w konflikt międzynarodowy. Te same cele i podobne metody spowodowały nawiązanie kontaktów pomiędzy ludźmi Czartoryskiego a przedstawicielami Południa, którzy mieli dopomóc w tworzeniu i kształtowaniu powstańczej floty wojennej. Flota ta, w swoich założeniach kaperskich, miała się składać z szybkich, żaglowych bądź kombinowanych (parowo-żaglowych) jednostek typu klipra. Te małe okręty, zwane popularnie rajderami, uzbrojone w 20-25 dział i obsadzone 50-60 ludźmi, idealnie nadawały się do zwalczania komunikacji handlowej, mniejszych jednostek wroga, a przede wszystkim eskortowania transportów z pomocą dla walczących powstańców. Pierwszą próbą, niejako rekonesansem, była misja wycarterowanego klipra "Chasepeak" pod dowództwem płk. Klemensa Przewłockiego, na Morze Czarne (teatr czarnomorski był uznawany przez Rząd Narodowy za priorytetowy ze względu na bliskość Turcji i Kaukazu) gdzie miał on rozpoznać siłę flo-

ty rosyjskiej na tym akwenie, a także przebieg tamtejszych szlaków handlowych. Misja ta jednak zakończyła się niepowodzeniem.

Wszystkie bowiem poczynania zarówno Południa jak i pełnomocnika rządu powstańczego, były uważnie obserwowane przez agentów Północy w Londynie i Paryżu, pozostających w ciągłej łączności z ambasadami rosyjską i pruską. Ta wzajemna współpraca sięgała przełomu 1862/63 r., kiedy po kilku porażkach (m.in. pod Antietam i Frederickbergiem) Północ poważnie liczyła się z możliwością interwencji anglo-francuskiej na rzecz zwyciężającego Południa, zaś "dwa czarne orły" połączył tzw. układ Avenslebena (8 II 1863 r.) skierowany przeciw powstańcom. Układ ów był odpowiedzią na noty protestacyjne Francji, Austrii i Anglii w sprawie polskiej, bowiem car poważnie (podobnie jak Lincoln w Ameryce) liczył się z możliwością interwencji tych państw a także Turcji, w sprawie polskiej. Po ponownym złożeniu protestu przez mocarstwa Aleksander II postanowił działać. Na wniosek ministra marynarki adm. Krabbego, sięgnięto po metodę szantażu, chcąc niejako upiec dwie pieczenie na jednym ogniu. Zdecydowano się na wysłanie do portów Unii tj. Nowego Jorku i San Francisco, dwóch eskadr: bałtyckiej pod dowództwem kadm. Lisewskiego oraz dalekowschodniej pod dowództwem kadm. Popowa. Oficjalnym powodem wizyty było nawiązanie kontaktów wojskowych z rządem Lincolna, a także udzielenie poparcia "słusznej walce stanów Północnych" jak ogłosił oficjalny komunikat (stylu podobnego propaganda naszego wschodniego sąsiada chyba nigdy się nie pozbędzie). Było to o tyle ciekawe, że przecież Rosja Aleksandra, mimo reformy włościańskiej, była państwem na poły feudalnym, w którym pozycja chłopu w niczym nie różniła się od pozycji czarnego niewolnika. W rzeczywistości manewrem tym Petersburg chciał odwieść Zachód od interwencji zbrojnej na rzecz powstania, a także, jeśliby doszło do wybuchu wojny powszechnej, zapewnić sobie współpracę floty Unii i jej portów w walce z ewentualną koalicją. Nie zmienia to jednak faktu, że eskadry rosyjskie zostały powitane przez Amerykanów entuzjastycznie, Lincoln wizytował jedną z jednostek, a ówczesny Sekretarz Stanu Wells, miał podobno krzyknąć na wieść o przybyciu okrętów: "Boże, dzięki Ci za Rosjan". Nastroje prorosyjskie (np. porównywalne z tymi z okresu II wojny światowej) sięgnęły zenitu, gdy wizytujący San Francisco kadm Popow stwierdził, że jego eskadra "pozostanie tak długo w San Francisco, jak to będzie potrzebne do ochrony zachodniego wybrzeża Stanów". Wywołało to istną histerię w Paryżu i Londynie, bese na giełdach europejskich, a przede wszystkim powolne wyciszenie nastrojów propolskich i prokonfederackich.

W tak trudnej sytuacji, Czartoryski, za zgodą RN postanowił jednak kontynuować swoje starania i własnym sump-

tem, za 60.000 franków, zakupił w Konstantynopolu brytyjski statek o nazwie "Samson" i przystąpił do organizowania dowództwa i polskiej załogi. Za radą Hieronima Bonapartego, brata wielkiego cesarza, dowódcą wyznaczono komandora Andre Magnana, Francuza. Okazało się to wielkim błędem, bowiem pan komandor nie miał najmniejszej ochoty walczyć oraz wykonywać jakichkolwiek poleceń Czartoryskiego i Rządu Narodowego. W wydanych w latach 1962-1986 zbiorze dokumentów dotyczących powstania, w jednym z tomów pt. "Dokumenty Wydziału Wojny RN", znaleźć można następujący passus pochodzący z korespondencji Czartoryskiego z Rządem Narodowym:

Zatwierdzamy (tj. Rząd Narodowy) najzupełniej przysłany projekt urządzenia floty narodowej, również pochwalamy nieuręczenie listów Magnanowi. Wiadomo, że raporta o tym człowieku agencji paryskiej były sprzeczne... Agencja paryska nigdy się nie kompromituje... Błąd... (a był to wielki błąd) raz tylko przez nią popełniony, właśnie w sprawie Magnana i to był błąd co do osoby.

Skandaliczna beczczynność Francuza, a także ochłodzenie stanowiska mocarstw, w tym Turcji, zmusiła Rząd Narodowy do sprzedaży "Samsona" na licytacji i zwinięcia przedsięwzięcia w Konstantynopolu.

Wkrótce jednak pojawił się nowy projekt, kierowany przez kmndr Władysława Zbyszewskiego (ps. Feliks Karp). Otóż zgodnie z jego projektem powołano w Paryżu Organizację Główną Narodowych Sił Morskich przy komisarzy pełnomocnym, ks. Czartoryskim. To quasi ministerstwo marynarki, miało mieć swoje przedstawicielstwo nawet na antypodach (Melbourne), a flota jemu podległa miała się nadal składać z kaperskich rajderów, o załogach polskich, jednolicie umundurowanych i utrzymujących się z łupów. 10 lutego 1864 roku wyszedł w morze pierwszy, naprawdę powstańczy okręt "Princess", wybudowany (niektórzy twierdzą, że zakupiony) w Newcastle. Niewiele wiemy na temat jego losów. Z tego, co wiadomo miał on przybrać polską nazwę (Kościszko lub Pułaski) i polską banderę dopiero po wejściu na Morze Śródziemne. Tutaj jednak dali o sobie znać agenci Unii. Podejrzewając, że okręt został zakupiony od agentów Konfederacji, zaalarmowali oni ambasadę rosyjską w Madrycie. Ta nie czekając, nacisnęła na Hiszpanów, mając ich, że "Princess" przewozi broń dla powstańców w Andaluzji. Rząd Jego Katolickiej Wysokości nie pozostał bierny i internował statek 12 lutego 1864 roku.

Tak zakończyła się ostatnia misja polskiego okrętu Powstania Styczniowego. W obliczu martyrologii upadającego powstania, flota powstańcza poszła w zapomnienie.

Maksymilian STANULEWICZ

KLUB HISTORYCZNO-KRAJOZNAWCZY

W ODWIEDZINACH U KSIĘŻNICZKI HALSZKI I NIEUCZCIWEJ KARCZMARKI



Dominującym walorem Wielkopolski jest piękno jej krajobrazu, zabytki architektury oraz pamiątki historyczne i muzea. Zachętą do wędrówek po Wielkopolsce niech będą słowa poety Wincentego Pola:

„Przeżyj jak księgę ulubioną
z krańca na kraniec ziemię własną...”

Tym razem „przeglądaliśmy” Ziemię Szamotulską. Szamotuły to miasto leżące nad Samą – dopływem Warty, znajdujące się 34 km na północny zachód od Poznania. W XVI wieku Górkowie zbudowali tu okazały zamek otoczony fosą, której fragmenty zachowały się do dziś. W XIX wieku zamek został gruntownie przebu-





dowany, przez co stracił swe cechy stylowe. Pozostałością po dawnych obwarowaniach jest Baszta Halszki. Nazwę swą zawdzięcza legendzie o więzionej tu Halszce z Ostroga. Wydana wbrew swej woli za wojewodę poznańskiego Łukasza Górkę, nie chciała się zgodzić na przymusowe pożycie małżeńskie, 14 lat była więc więziona w baszcie. Uwolniona została dopiero po śmierci męża, zmarła w wieku 43 lat. Halszka przeszła do legendy jako nieszczęśliwa Czarna Księżniczka (od chwili uwięzienia przywdziewała czarne szaty). Była to piękna kobieta o czarnych oczach i włosach. Tak namalował ją Jan Matejko na obrazie "Kazanie Skargi" – siedzi zasłuchana obok królowej Anny Jagiellonki. Dramat pięknej, młodej księżniczki przedstawiło w swych utworach wielu pisarzy, m.in. Ignacy Krasicki, Józef Szujski, Maria Wicherkiewiczowa. Obecnie w zamku szamotulskim od 1990 r. znajduje się ciekawe muzeum regionalne Ziemi Szamotulskiej. Trafiliśmy na okresową wystawę ikon. Niektóre z nich to arcydzieła.



9 km na północny zachód od Szamotuł leży wieś Słopotowo. W centrum wsi wznosi się drewniany kościół św. Mikołaja, zbudowany w latach 1695-99. Odnowiono go w 1989-91 r. Dużą atrakcją tego obiektu jest barwna polichromia o charakterze ludowym. Pod chórem jest namalowana scena przedstawiająca diabła trzymającego karczmarke z niepełnym kuflem piwa. Na wołowej skórze wypisano wszystkie jej grzechy oraz uzasadnienie wyroku diabelskiego: "Bo nie dolewala".

Ponieważ jest piękna słoneczna pogoda, też napiliśmy się piwa, nawet z niepełnego kufła. Ale czas wracać. Zostawiamy diabła, nieuczciwą karczmarke i ruszamy w kierunku Śremu.

Pytanie konkursowe (III):

Jaki pomnik przyrody znajduje się w Parku Miejskim im. Powstańców Wlkp. w Śremie?

Odpowiedzi należy przysyłać wyłącznie na kartkach pocztowych z naklejonym kuponem **do dnia 15 października 1999 r.** (liczy się data stempla pocztowego) na adres: Muzeum Śremskie, ul. Mickiewicza 89, 63-100 Śrem. Do wygrania książka ufundowana przez sklep papirniczy Jerzego Cicharskiego.

Rozwiązanie konkursu z nr 5/99:

1. Lokacje Śremu odbyły się latach 1253 (po lewej stronie Warty) i 1393 (po prawej stronie Warty).

2. "Starym Miastem" zwana jest lewobrzeżna część Śremu (od mostu wzdłuż ulicy Mickiewicza do Wójtostwa).

Nagrodę książkową wylosowała pani **Wanda Sołtysiak ze Śremu**, ul. Chłapowskiego 8/22. Książkę można odebrać w Muzeum w godzinach otwarcia.

KUPON III

GALERIA '99

16 września w Muzeum Śremskim zostanie otwarta GALERIA '99

O bliższe szczegóły poprosiliśmy kierownika artystycznego GALERII '99 Jerzego Jurge

Profil galerii

Śrem posiada różnorodną ofertę kulturalną, ale nie ma w niej programowej propozycji malarstwa współczesnego. Dlatego powstaje galeria sztuki współczesnej, w której cyklicznie prezentowane będzie współczesne malarstwo, rzeźba, grafika. Początkowo dzieła twórców poznańskich, później twórców z innych okręgów i spoza granic kraju. Nawiązałem kontakty z galeriami poznańskimi m.in. galerią Ewy Polony oraz BWA. Planuję zorganizowanie około 6 wystaw rocznie. Nie ukrywam, że częstotliwość wystaw będzie uzależniona od środków finansowych. I tutaj uклон w stronę ewentualnych sponsorów, którzy, mam nadzieję, będą współuczestniczyć w działalności galerii i wspierać jej artystyczne przedsięwzięcia. Z góry za to dziękuję.

Nazwa galerii - GALERIA '99

Nazwa galerii nawiązuje wprost do roku jej powstania - 1999. Presja roku 2000 jest tak wielka, iż sądzę, że rok '99 należy wyróżnić. Określenie Rok 2000 od lat jest eksploatowane w mediach i nazewnictwie towarowym. Galeria '99 być może przejdzie do lokalnej historii.

Częstotliwość

Każda szanująca się galeria organizuje wernisaże w określonym dniu. Zdecydowaliśmy się, że będą to czwartki godz. 19.00, pora mam nadzieję najodpowiedniejsza dla gości uczestniczących w wernisażach.

Program

Prezentowane w galerii dzieła plastyczne będą reprezentatywne dla kierunków obecnie dominujących w sztuce.

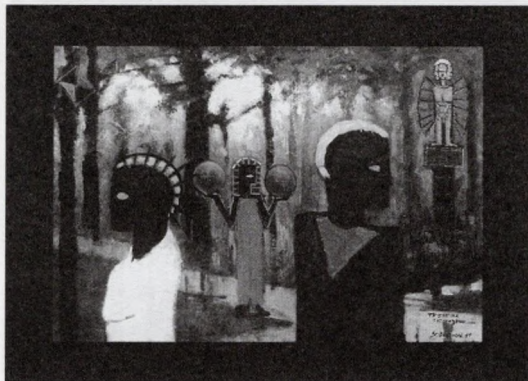
ce. Zdaję sobie sprawę z tego, że niektóre mogą wzbudzać kontrowersje, ale po to będą nasze spotkania, aby pewne sprawy wyjaśnić. Głównym celem powstania galerii nie są barwne wernisaże i ożywione na nich dyskusje, ale przygotowanie młodych i bardzo młodych ludzi do odbioru sztuki współczesnej. Dlatego też kieruję serdeczne zaproszenie do młodych ludzi i ich nauczycieli, aby w czasie trwania wystawy odwiedzili galerię w terminie dla nich dogodnym. Dojdzie wówczas do bezpośrednich spotkań nie tylko ze współczesną sztuką, ale również z jej twórcami. Tego rodzaju kontakty mają ogromne znaczenie w kształtowaniu umiejętności odbioru sztuki, zwłaszcza u młodych ludzi, ponieważ to oni będą w przyszłości jej pełnymi odbiorcami i mecenasami. Pozwolą one na swobodniejsze poruszanie się w galeriach Polski i świata, bo przecież młodzież coraz częściej podróżuje. Dlatego spotkania w Galerii '99 będą skutecznym elementem edukacji.

Wystawa inauguracyjna działalność Galerii '99

Naszym pierwszym gościem będzie poznański artysta plastyk Tadeusz Sobkowiak. Artysta (ur. 1955 r.) studiował w PWSSP w Poznaniu, uzyskując dyplom w 1986 r. Wyowiada się poprzez malarstwo i rysunek. Swoje prace prezentował na wielu wystawach indywidualnych i zbiorowych w kraju i za granicą, m.in. w Belgii, Holandii, Francji, Niemczech, Szwecji i Wielkiej Brytanii. Pełne koloru i światła, oparte na języku metafor i symboli obrazy Sobkowiaka przenikają nastrojów tajemniczości. Niestety nie jesteśmy w stanie wysłać imiennych zaproszeń na wernisaże do wszystkich sympatyków sztuki. Dlatego za pośrednictwem Gazety Śremskiej zapraszamy zainteresowanych malarstwem współczesnym do Muzeum Śremskiego. Myślę, że przy okazji wystaw będzie można zakupić obrazy.

Zapraszam wszystkich. Cieszę się, że w Śreмі powstaje artystyczna, niekonwencjonalna galeria, miejsce edukacji, które wykreuje świadomych odbiorców sztuki. Jest więc szansa na zaistnienie nowej jakości w życiu kulturalnym miasta.

Serdecznie dziękuję dyrektorowi Muzeum Śremskiego za współtworzenie Galerii '99. Myślę, że władze miasta łaskawym okiem spojrzą na jej działalność.





KINO SŁONKO ZAPRASZA we wrześniu

GLORIA (czas: 90 min.)

3-6.IX. od soboty do poniedziałku, godz. 19.00
Dramat sensacyjno-psychologiczny. Kochanka gangstera (Sharon Stone) wychodzi z więzienia. Wraca do Nowego Jorku i przez przypadek zostaje opiekunką sześciolatniego chłopca. Chłopak dysponuje informacjami, które mogą ujawnić wiele przestępczych postępowań mafii. Gangsterzy chcą za wszelką cenę go zabić.



OPERACJA "SAMUM"

17-20.IX. od soboty do poniedziałku, godz. 19.00

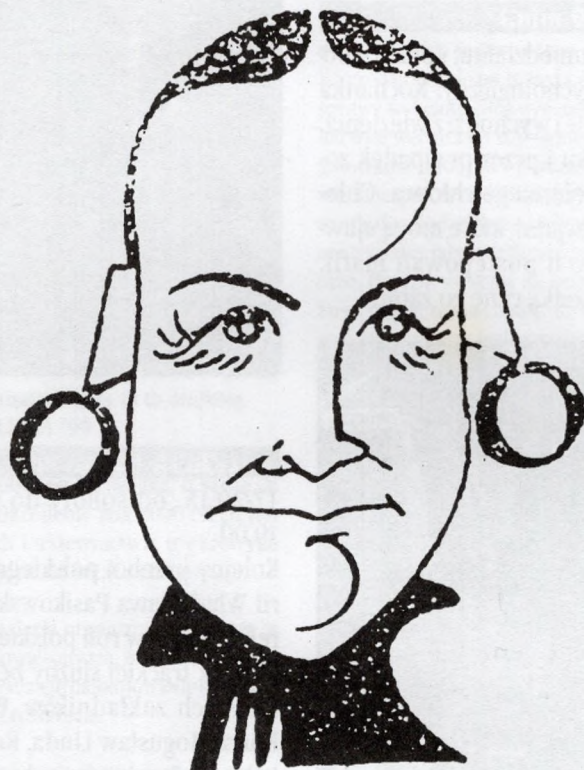
Kolejny przebój polskiego kina akcji w reżyserii Władysława Pasikowskiego. Tym razem Marek Kondrat w roli polskiego asa wywiadu ratuje z rąk irackiej służby bezpieczeństwa amerykańskich zakładników. Partnerują mu Anna Korcz, Bogusław Linda, Radosław Pazura i Olaf Lubaszenko. Autorem muzyki do filmu jest sam Goran Bregovic.

OSACZENI (czas: 112 min.)

10-13.IX. od soboty do poniedziałku, godz. 19.00
Zamaskowany włamywacz – profesjonalista w swoim fachu (w tej roli Sean Connery) przedostaje się do gabinetu nowojorskiego finansisty i kradnie cenny obraz. Towarzystwo ubezpieczeniowe musi wypłacić odszkodowanie, próbuje jednak na własną rękę odnaleźć sprawcę kradzieży. Tropem włamywacza wyrusza piękna Gin (Catherine Zeta-Jones).

ŻYCIE JEST PIĘKNE (czas: 114 min.)

24-27.IX. od soboty do poniedziałku, godz. 19.00
Nagrodzona wieloma Oskarami komedia Roberto Benniniego z nim samym w roli głównej. Film opowiada o holocauście, ale traktuje ten temat na wesoło. Błaznowaty wieśniak, z chwilą rozpoczęcia wojny trafia wraz z najbliższą rodziną do obozu koncentracyjnego. Robi jednak wszystko, aby przekonać syna, że pobyt w obozie jest jedynie pewną formą zabawy dla dorosłych.



Gabriela Wasielewska
Dyrektor Śremskiego Ośrodka Kultury

GAZETA ŚREMSKA - siedziba redakcji - Muzeum Śremskie, 63-100 Śrem, ul. Mickiewicza 89, tel. 061/28 35 938

Redagują: Mariusz KONDZIELA (redaktor naczelny), Barbara JAHNS (redaktor prowadzący).

Opracowanie graficzne: Robert CZAPRAKCI. **Współpraca:** Eugeniusz FERSTER.

Wydawca: Zarząd Miejski w Śreмі

Projekt okładki i zdjęcia: Mariusz DZIUBA.

Skład komputerowy, fotonaświetlanie: WIGO Pracownia Informatyczno-Graficzna, Śrem, tel./fax (061)28-30-216.

Druk: Firma EM Tomczak Ewa, Śrem, tel. (061) 28-35-068.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń i reklam oraz zmiany programów i terminów wprowadzonych po oddaniu numeru do druku.

GŁÓWNA NAGRODA



Barbara Hanuszt

"Wiatrak" / OPALENICA ROK ~~1998~~ 1998/99
studium z 1984 roku / dziś mistrzostwo

Dar na pomoc porzuconym przez ludzi
i potrzebującym zwierzętom.
Przyjaciel T.O.Z. w Śremie.

Barbara Hanuszt

12 IV 1999 r.
Cecylia

LOTERIA TOWARZYSTWA OPIEKI NAD ZWIERZĘTAMI
DOŻYNKI POWIATOWE 19.09.1999 GODZ. 18.00
STADION UL. ZAMENHOFA

